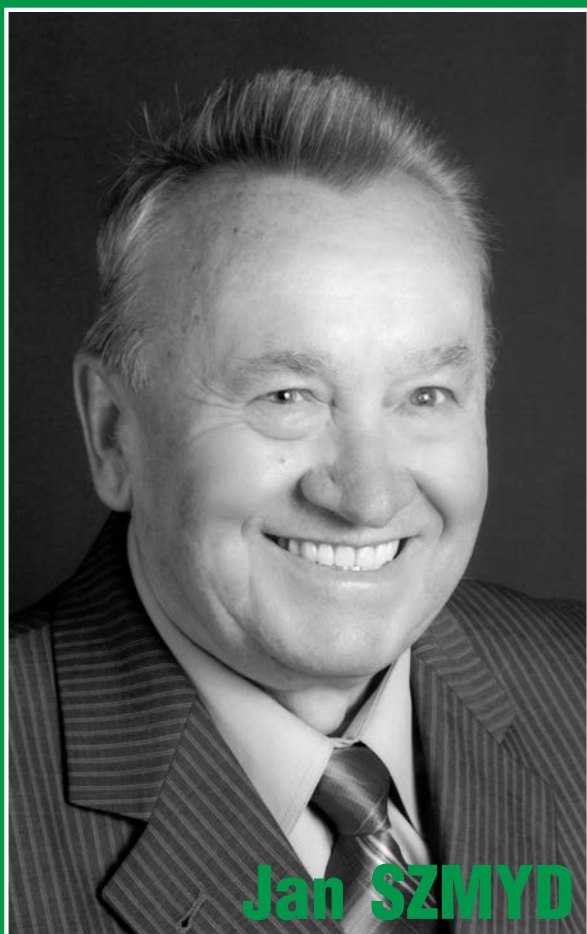


RES HUMANANA

Humanizm
Racjonalizm
Kultura świecka

1 /110
2011 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 1 (110) 2011 Rok wyd. XX • Cena 7,00 zł (w tym 5% VAT)



Jan SZMYD

**O współczesnych
niepokojach moralnych**

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

NADZIEJE NA NOWY ROK

Jerzy J. WIATR o katastrofie smoleńskiej

Zdzisław SŁOWIK o liście

o L. WIŚNIEWSKIEGO

Uchwała Parlamentu Federacji Rosyjskiej

W KRĘGU WAŻNYCH SPRAW

Zygmunt BAUMAN

O nierównościach społecznych

O TOLERANCJI: Uri HUPPERT,

Bronisław ŁĄGOWSKI,

Andrzej WIELOWIEYSKI

•

Daniel ZBYTEK o kłopotach
multikulturalizmem

KOŚCIÓŁ

List. o. Ludwika M. WIŚNIEWSKIEGO

Julian BARTOSZ o pontyfikacie

Benedykta XVI

FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA, Eugeniusz KABATC,

Wacław SADKOWSKI

Ponadto w numerze

m.in.: Władysław

LORANC

oraz o wybranych

książkach,

czasopismach

i kronika.



Spis treści

FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

NADZIEJE NA NOWY ROK/ 1

Jerzy J. WIATR

Niewygodne fakty i szkodliwa kampania/ 2

Zdzisław SŁOWIK

O. Ludwika M. Wiśniewskiego wyzwanie dla polskiego Kościoła/ 4

O TRAGEDII KATYŃSKIEJ I JEJ

OFIARACH

Uchwała parlamentu Federacji Rosyjskiej z dnia 26 listopada 2010 roku/ 5

W KRĘGU WAŻNYCH PROBLEMÓW WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA

Jan SZMYD

„Chybotliwość moralna” w świecie współczesnym/ 7

Zygmunt BAUMAN

O nierównościach społecznych i innych sprawach współczesnego świata/ 13

ZASŁUŻENI DLA TOLERANCJI

Uri HUPPERT

Bronisław ŁAGOWSKI

Andrzej WIELOWIEYSKI/ 15

Daniel ZBYTEK

Czy pożegnanie z multikulturalizmem?/ 17

Uri HUPPERT

Izrael: u progu dramatycznej decyzji/ 21

SPRAWY WSPÓŁCZESNEGO KOŚCIOŁA

O. Ludwik M. WIŚNIEWSKI

List do nuncjusza Apostolskiego w Polsce apb. Clestino Miligore/ 23

Julian BARTOSZ

„Duchowy mocarz”/ 27

Radosław S. CZARNECKI

Mała rzecz o tajemnicy/ 32

ŚWIADECTWO

Władysław LORANC

Oczyszczająca moc rzeczywistości/ 33

FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA

Uroki liberalizmu ekonomicznego/ 37

Eugeniusz KABATC

Patetycznie, lirycznie.../ 39

Wacław SADKOWSKI

Poezja nie tylko okolicznościowa/ 41

WŚRÓD KSIĄŻEK

Andrzej BIERNACKI

Roztropnie o latach PRL/ 43

Zdzisław SŁOWIK

Humanizm współczesnego ateizmu/ 44

Eugeniusz KABATC

Chopin w Rosji/ 46

W CZASOPISMACH

Ksawery S. PIWOCKI (wybór)

GAZETA NA ŚWIĘTO, TYGODNIK

POWSZECHNY/ 48

Daniel S. ZBYTEK

IWMpost/ 49

KRONIKA

DOROCZNE SPOTKANIE W

KRAKOWSKIEJ KUŹNICY/ 52

VI FESTIWAL RACJONALISTYCZNY/ 52

KATOWICE; KOSZALIN/ III str. okł

REDAKCJA: Mariusz AGNOSIEWICZ, Zdzisław CACKOWSKI, Marek JAWORSKI, Władysław LORANC, Jerzy ŁADYKA, Wacława MIELEWCZYK – sekretarz redakcji, Lech M. NIJAKOWSKI, Wacław SADKOWSKI – z-ca redaktora naczelnego, Zdzisław SŁOWIK – redaktor naczelny, Dionizy TANALSKI, Zbigniew WOJTKOWIAK, Daniel. S. ZBYTEK.

ADRES REDAKCJI: 00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24, tel. 625-44-69.

E-mail: reshumana@tlen.pl

WYDAWCA: Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.
www.kulturaswiecka.pl

Druk: Drukarnia Nr 1 w Warszawie, ul. Rakowiecka 37. Nakład – 1000 egz.; stawka VAT 5%.

FAKTY WYDARZENIA OPINIE

Od Redakcji

NADZIEJE NA NOWY ROK

Każdy Nowy Rok, choć wiemy jak symboliczna to i umowna miara czasu, pobudza żywiej niż zwykle nasze myślenie o nadziejach, oczekiwaniach, o naszych pragnieniach, które chcielibyśmy, aby spełniły się w tym właśnie roku. Uciekać od tego uczucia, a tym bardziej gasić nasze nadzieje, to gasić jakąś istotną wartość naszego ludzkiego życia.

Nie lękajmy się zatem myśleć o nadziejach – każdego z nas osobno i o nadziejach wspólnoty czy po prostu społeczeństwa, w którym żyjemy. Jednostkowy wymiar nadziei bywa, jak wiemy, tak zróżnicowany, jak odmienny jest czas życia każdego z nas, czy nasze miejsce zajmowane na społecznej drabinie dochodów, prestiżu czy władzy; mieć nadzieję to także mieć wolę czy zdolność przekraczania wielorakich barier czy progów, które stwarza życie. Ale z tego wielkiego zdawać by się mogło chaosu wyłaniają się wszelako coraz bardziej widzialne oczekiwania większości nas, które tworzą świat rozumnej nadziei.

Czego ta większość oczekuje, czego pragnie? Wszelkie dostępne badania społeczne jednoznacznie wskazują na dobrostan, do którego chcemy dążyć, chcemy go osiągnąć, w którym pragniemy żyć. A sam dobrostan oznacza stan posiadania takiego zasobu sił i zdrowia, który zapewnia – coraz dłuższemu życiu – zdolność aktywnego w nim uczestnictwa, spełnianie się, mniej myśląc o zaświatach, a bardziej o ludzkich i ziemskich wymiarach ludzkiego życia.

Owo dążenie do osobistego szczęścia, ów drogowskaz życia postawiony już przed wiekami przez antycznych mędrców, wciąż trwa, wciąż wydaje się aktualny, choć, co zrozumiałe, owo dążenie do osobistego szczęścia – po wielorakich lekcjach historii – wypełniają nowe treści, potrzeby, nowe horyzonty. Teraz szczęście to nie jedynie zwykle przetrwanie dnia, tu chodzi o coś więcej. Szczęście nabiera wielu nowych barw, odcieni, tak wielu jak wielu spośród nas pragnie go doświadczać. Przekracza chęć osiągnięcia jedynie dostatku materialnego na rzecz wartości wyższego rzędu, którymi staje się potrzeba posiadania coraz wyższego wykształcenia, jako warunku osiągnięcia coraz większych sukcesów życiowych w ich wielorakich wymiarach; w niemniejszym stopniu coraz większą wartością staje się potrzeba życia w przyjaznym klimacie życia społecznego oraz analogicznym stanie środowiska przyrodniczego. Bywa, że wartości te zdolne są kompensować brak wielu innych.

Co więcej, wyraźnie wzrasta społeczna świadomość tego, co wokół nas – w moim mieście, kraju i na świecie; maleje liczba obojętnych. I z tej właśnie nieobojętności rodzi się sprzeciw wobec działań i języka agresji, który od pięciu zwłaszcza lat zatruwa polskie życie publiczne, burząc życie społeczne, dramatycznie dzieląc społeczeństwo, także jego środowiska opiniotwórcze. Jedno ze stronnictw politycznych, uznając się formalnie za opozycyjne wobec władzy sprawowanej przez inne stronnictwo, a przekształcając się faktycznie w polityczną siłę antysystemową, wypowiedziało Polsce i Polakom wojnę, wojnę polsko-polską, wojnę, w której stawką jest los III RP.

Stawką jest dziś to, czy nasz kraj iść będzie nadal drogą rozwoju i umacniania demokratycznego państwa prawa, czy też stanie się jakąś odmianą dyktatury autorytarnej.

Nie wahamy się mówić o tym dobitnie i głośno. I będziemy mówić tak długo, jak długo ten antydemokratyczny twór, zrodzony z demokracji, którą brutalnie dziś deprecze, nie zniknie z polskiego życia publicznego, lub dopóki nie stanie się zupełnym marginesem tego życia.

Nowy Rok, który właśnie nadszedł, tworzy warunki, aby tak się stało. Te warunki to jesienne wybory parlamentarne, nasz głos w tych wyborach wskazujący na to, w jakim kraju chcemy żyć, pracować, spełniać także nasze jednostkowe i zbiorowe marzenia, nasze prawo do życia godnego w godnym szacunku społecznym otoczeniu, nasze prawo do nadziei.

NIEWYGODNE FAKTY I SZKODLIWA KAMPANIA

Wrócił publiczny spór o przyczyny katastrofy smoleńskiej, tym razem wywołany publikacją rosyjskiego raportu w tej sprawie. Nie będąc specjalistą nie mam zamiaru oceniać faktograficznej warstwy raportu MAK. Zwracam uwagę na to jedynie, że kompetentne władze polskie nie kwestionują podanych w nim faktów dotyczących odpowiedzialności strony polskiej a jedynie wytykają Rosjanom to, że pominieli lub zlekceważyli błędy i zaniedbania istniejące po stronie rosyjskiej. Gdyby dyskusja toczyła się wyłącznie na tej płaszczyźnie, byłaby ona potrzebna i wręcz naturalna.

Stało się jednak inaczej. Jeszcze przed publikacją raportu MAK politycy Prawa i Sprawiedliwości oraz wspierający ich dziennikarze rozpowszechniali wersję, zgodnie z którą 10 kwietnia miał miejsce zamach. „Zbrodnią” nazwał to, co się stało w Smoleńsku, Antoni Macierewicz. Przyklasnęli mu inni, w tym niestety także niektóre wdowy po ofiarach katastrofy. O ile można zrozumieć, że najbliższym cierpieniem uniemożliwia bezstronne spojrzenie na przyczyny katastrofy, o tyle nic nie może usprawiedliwiać polityków eksploatujących tragedię smoleńską dla politycznych celów.

Stosunki polsko-rosyjskie obciążone są dziedzictwem historii, w której tak wiele było prawdziwych zbrodni. Katyń jest w tym względzie ważnym symbolem. Nikt rozumny nie proponuje, by o tej historii zapomnieć. Nie byłoby to zresztą możliwe. Idzie o to, jak się na nią patrzy.

Ofiarami zbrodni stalinowskich byli ludzie wielu narodów, w tym miliony Rosjan. To właśnie stanowi najważniejszą różnicę między zbrodniami hitlerowskimi (niemal wyłącznie wymierzonymi w inne narody) a zbrodniami stalinowskimi. W odniesieniu do tych ostatnich mamy prawo i obowiązek mówić o wspólnocie cierpienia. Wśród moich rosyjskich przyjaciół i znajomych nie ma nikogo, komu stalinizm nie zabrałby najbliższych członków rodziny. O tym nie wolno zapominać.

Pamiętali o tym premierzy Tusk i Putin, gdy 7 kwietnia zeszłego roku składali kwiaty na obu cmentarzach katyńskich – tym, gdzie leżą prochy polskich oficerów i tym, gdzie spoczywają radzieckie ofiary Stalina. Pamiętali o tym autorzy znakomitej książki wydanej przez Polsko-Rosyjską Grupę do Spraw Trudnych. To jest kierunek, w jakim powinniśmy podążać. Pojednanie polsko-rosyjskie jest potrzebne obu narodom, Polakom nie mniej niż Rosjanom.

Pojednanie musi opierać się na prawdzie. O to przez dziesięciolecia było trudno. Kłamstwo katyńskie ciążyło nad stosunkami polsko-radzieckimi. Jeszcze pod koniec lat osiemdziesiątych władze polskie z inicjatywy Wojciecha Jaruzelskiego podjęły wysiłki na rzecz ujawnienia prawdy o zbrodni katyńskiej. Szło to jak po grudzie, ale dało wyniki. Niechętnie i połowicznie władze ZSRR a potem Federacji Rosyjskiej ujawniały okrutną prawdę. Istotny był tu wkład Michaiła Gorbaczowa i Borysa Jelcyna. W parze z tym szły jednak małoduszne próby zrelatywizowania tej zbrodni przez porównywanie jej ze sposobem traktowania jeńców radzieckich w polskich obozach jenieckich w 1920 roku.

W 2010 roku to się zmieniło. Zbliżająca się siedemdziesiąta rocznica zbrodni katyńskiej została przez władze rosyjskie potraktowana z należytą powagą. Pokazanie filmu Andrzeja Wajdy przez publiczną telewizję rosyjską a zwłaszcza obchody 7 kwietnia w Katyniu były świadectwem nowego klimatu. Powitaliśmy to z uznaniem.

Trzy dni później był Smoleńsk. Reakcja nie tylko władz Federacji Rosyjskiej ale zwykłych Rosjan świadczyła o przełomie psychologicznym, jaki się dokonał. Mieliśmy prawo mieć nadzieję, że z krwi smoleńskich ofiar rodzi się nowy klimat w stosunkach polsko-rosyjskich.

Niemal natychmiast włączyli się jednak ci, którym pojednanie polsko-rosyjskie jest nie na rękę, bo utrudnia polityczną kampanię przeciw obecnemu rządowi. Dla przyziemnej korzyści politycznej zaczęto grać kartą rusofobii. Sugestie, że za katastrofę odpowiedzialni są Rosjanie – i to nie z racji zaniedbań a ze względu na świadome działania – formułowano na długo przez publikacją raportu MAK.

Wyrządzało to szkodę Polsce. Czy bowiem można poważnie traktować państwo, w którym politycy największej partii opozycyjnej nie cofają się przed tego typu bezpodstawnymi oskarżeniami? Mam żal do polskiej prokuratury, że szybko i jednoznacznie nie oświadczyła, iż hipoteza zamachu pozbawiona jest wszelkich podstaw. To zresztą problem szerszy. Jeśli niedawno Instytut Pamięci Narodowej z całą powagą potraktował sugestię goniącego za sensacjami autora scenariuszy o zamachu w Gibraltarze (i w konsekwencji ośmieszył się ekshumacją zwłok generała Sikorskiego), to grunt pod poważne potraktowanie sugestii o „zbrodni” smoleńskiej został przygotowany.

Trzeba bowiem pamiętać, że łowcy politycznych sensacji zawsze znajdą poklask u najmniej wyrobionej politycznie części społeczeństwa. To, co jedni robią świadomie dla politycznej korzyści, inni naiwnie przyjmują do wierzenia, gdyż sądzą, że tak wielka katastrofa nie może być dziełem przypadku, konsekwencją splotu niefortunnych błędów.

A jednak tak właśnie było. Rosyjski MAK ma zapewne racje wskazując na liczne zaniedbania i błędy strony polskiej. Bez nich do katastrofy by nie doszło, o czym zresztą opozycja mówi domagając się dymisji ministra Klicha. Sama więc sobie przeczy. Jeśli, jak twierdził Antoni Macierewicz, katastrofa smoleńska była (zapewne rosyjską) „zbrodnią”, to nie ponosi za nią odpowiedzialności polski minister obrony narodowej, a jeśli była następstwem serii polskich błędów, to nie ma tu miejsca na hipotezę rosyjskiego zamachu. *Tertium non datur.*

Rosyjski raport sprawy wystarczająco nie wyjaśnia, gdyż pomija wszystko to, co świadczy o zaniedbaniach po stronie rosyjskiej oraz o popełnionych błędach kontrolerów. Domyślam się, że zadziałał tu biurokratyczny mechanizm nakazujący chronienie własnej skóry przed jakimkolwiek zarzutem. To był błąd. Błędy rosyjskie nie były jednak podstawową przyczyną katastrofy. Gdyby samolot z prezydentem na pokładzie nie leciał do Smoleńska, tylko na normalne lotnisko międzynarodowe do Moskwy, gdyby nie opóźniono wylotu, przez co narażono się na lądowanie we mgle, gdyby załoga była lepiej przeszkolona i знаła rosyjskie komendy, gdyby nie było nacisków na lądowania za wszelką cenę, słowem gdyby po polskiej stronie nie popełniono bardzo ciężkich błędów, żadne działania rosyjskich kontrolerów nie miałyby znaczenia. Tym bardziej więc strona rosyjska źle zrobiła sugerując, że żadnych błędów rosyjskich nie było. Dała tym amunicję polskim rusofobom i, zapewne wbrew własnym intencjom, zaszkodziła polityce pojednania prowadzoną przez premiera Putina i prezydenta Miedwiediewa. Dobrze by się stało, gdyby na szczeblu rządowym błąd ten został jak najszybciej naprawiony.

Pozostaje jednak sprawa podstawowa, której wrzawa wokół raportu MAK nie powinna zaciemniać. Fakty są niewygodne tak dla rządu, jak dla Prawa i Sprawiedliwości.

Dla rządu, a zwłaszcza dla ministra Klicha, bardzo niekorzystne są informacje o skali zaniedbań w lotnictwie wojskowym. Nie wiem, jaka będzie przyszłość ministra obrony narodowej, ale jestem przekonany, że premier Tusk nie może tych zaniedbań puścić płazem. Za o wiele mniej istotne błędy leciały ministerialne głowy. Rzecz jednak nie tylko w ewentualnych dymisjach. Rząd powinien bardzo poważnie zastanowić się nad tym, jak daleko sięgać mogą oszczędności w Siłach Zbrojnych, zwłaszcza, że znaczne środki pochłaniają misje zagraniczne (dawniej Irak, obecnie Afganistan), dla których nie ma społecznego poparcia.

Dla Jarosława Kaczyńskiego i jego partii fakty o katastrofie są jeszcze bardziej niewygodne. Nie ma podstaw do podtrzymywania wersji o „zamachu”, w którą tak wiele zainwestowano. Natomiast coraz wyraźniejsze staje się, że praprzyczyną katastrofy było upieranie się przy tym, by wyjazd prezydenta Kaczyńskiego i grona wysokiej rangi polityków na drugie w tym samym tygodniu uroczystości katyńskie przesłonił wcześniejsze spotkanie Tusk-Putin w Katyniu. Determinacja, by wyjazd się odbył w połączeniu z wcześniejszym nękaniami pilotów, którzy nie podporządkowali się prezydentowi w czasie lotu do Tbilisi w sierpniu 2008 roku, doprowadziła do tego, co się stało. To bolesna prawda, której Jarosław Kaczyński i jego partyci koledzy nie chcą przyjąć – tak ze względów psychologicznych, jak politycznych.

Tej niewygodnej prawdy nie da się jednak zakrzyczeć. Kampania propagandowa nie może zmienić faktów. I mam nadzieję, że nie odbierze trzeźwego sądu zdecydowanej większości Polaków. Mówimy, że pojednanie musi opierać się na prawdzie. A więc trzymajmy się tej zasady.

Jerzy J. WIATR

O. LUDWIKA M. WIŚNIEWSKIEGO WYZWANIE DLA POLSKIEGO KOŚCIOŁA

Głośny już list o. Ludwika Wiśniewskiego do nuncjusza apostolskiego w Polsce abp Celestino Migliore, opublikowany przez „GAZETĘ WYBORCZĄ” 14 grudnia 2010 r., wywołał szeroki oddźwięk w Kościele i polskiej opinii publicznej.

Nie mogło być inaczej z kilku powodów: wewnętrzne sprawy Kościoła, jeśli tylko przenikały na jego zewnątrz, zawsze budziły społeczne zainteresowanie, a jeśli były to sprawy istotnie ważne, i do tego – jak w tym przypadku – krytycznie przedstawione przez niekwestionowanego wybitnego duchownego samego Kościoła to znaczenie tego listu nabiera szczególnej wagi, nabiera wagi ważnego dokumentu, obok którego nikt nie może przejść obojętnie.

Głębką wymowę ma przede wszystkim pozytywna na list reakcja najważniejszych przedstawicieli hierarchicznego Kościoła: prymasa Polski abp. Józefa Kowalczyka, prymasa-seniora abp. Henryka Muszyńskiego, kard. Kazimierza Nycza, seniora-metropolity gdańskiego abp. Tadeusza Gocłowskiego, abp. Józef Życińskiego, także ważny w tej kwestii głos rzecznika kard. Stanisława Dziwisza. „Mam wielki szacunek dla ojca Wiśniewskiego za wszystko, co zrobił w swoim duszpasterstwie w czasie PRL i późniejszym. Szanuję go za zatroskanie o Kościół, które przebija z listu do nuncjusza apostolskiego... Łatwiej jest pójść i wygłosić kazanie, które sprowadza się do przedstawienia poglądów politycznych duchownego, niż przygotować się do homilii, przeczytać dokładnie teksty biblijne i ułożyć jakiś plan pozytywnego wykładu. Musimy raz na zawsze skończyć z obyczajem, że homilię zastępuje wystąpienie polityczne” – to dobitnie słowa prymasa Józefa Kowalczyka; „Głoszenie prawdy, nawet najważniejszej, ale bez miłości, może być nie do zniesienia, zwłaszcza gdy towarzyszy mu język pełen pogardy dla innych, niechęci, a czasem, niestety, nienawiści... W chrześcijaństwie ... nie wolno łamać się opłatkiem, mając zaciśnięte dłonie” – to z kolei słowa kard. Kazimierza Nycza, wyraźnie nawiązujące do listu o. Ludwika Wiśniewskiego.

Ale odezwały się też „kościelne nożyce”: w ruch wprawił je radiomaryjny „Nasz Dziennik”, zmarginalizowana gazetka, która swoje na tym tle kompleksy nadrabia arogancją i pychą katolickiego integrizmu. Korzystają z jej łamów nie od dziś podobnie myślący hierarchowie Kościoła; także i teraz, w swych reakcjach na list o. Ludwika Wiśniewskiego, dając najlepszy dowód słuszności diagnozy listu, że w polskim Kościele – także w Episkopacie – dzieje się „coś niepokojącego”. Dopowiedzmy: dzieje coś bardzo niepokojącego, gdy do chóru krytyków listu włącza się sam przewodniczący Episkopatu abp Józef Michalik i autorytatywnie oświadcza, że nie widzi potrzeby namysłu nad stanem polskiego Kościoła, i gdy stwierdza, że „Kluczem do osłabienia, a potem do wyeliminowania Kościoła z życia publicznego jest próba podzielenia go albo wmówienia, że Kościół jest podzielony”. Ale ten nominalnie najwyżej usytuowany w hierarchii dostojnik polskiego Kościoła posuwa się dalej, gdy zadaje takie oto żenujące w swej treści i formie pytania: „Czy formułując zarzuty, czynią to z miłości i troski o Kościół? Czy może wytykaniem błędów ludzi Kościoła chcą usprawiedliwiać własne niedoskonałości?”

Oto przykład myślenia o Kościele, które tak celnie opisał w swym liście o. Ludwik Wiśniewski: małostkowego, nastawionego na tępienie wroga, zamkniętego na dialog, Kościoła, którego „gorszący

podział objawia się poprzez popieranie inicjatyw i dzieł formalnie katolickich, a w rzeczywistości pogańskich, bo jątrzących i dzielących społeczeństwo i Kościół”.

To przenikliwa, choć na pewno gorzka dla Kościoła diagnoza, to słowa pełne trwogi, wobec których nie wolno milczeć nikomu, także świeckim humanistom. Dlatego postanowiliśmy na naszych łamach wydrukować obszerne fragmenty listu o. Ludwika Wiśniewskiego dając tym samym wyraz solidarności i dziękując Mu za odwagę, za precyzyjne opisanie stanu polskiego Kościoła, za wskazanie przyczyn tego stanu, także za wskazanie dróg naprawy.

I nie będzie samochwalstwem kiedy powiemy zarazem, że o tym, że w Kościele polskim źle się dzieje, zwłaszcza źle po śmierci Jana Pawła II, wielokrotnie pisaliśmy i mówiliśmy, jako ludzie nauki i publicyści świeccy, także na łamach naszego czasopisma. Ale opinie te, w swej istocie dalece zbieżne z konstatacjami o. Ludwika Wiśniewskiego, nie były zdolne przebić się do szerszej opinii publicznej ze względu na notoryczne ich przemilczanie, ignorowanie, także traktowanie ich jako „walki z Kościołem”.

W tej perspektywie list o. Ludwika Wiśniewskiego, którego ranga merytoryczna i oddźwięk społeczny jest nieporównywalny w swej skali wobec wielu dotychczas publikowanych opinii różnych polskich środowisk opiniotwórczych wypowiedzianych na temat sytuacji w polskim Kościele, sprawia nam, środowisku świeckich humanistów, czego nie ukrywamy, głęboką satysfakcję. Jest to satysfakcja płynąca z uznania racji, które w imię prawdy staraliśmy się formułować na miarę naszej wiedzy i poczucia odpowiedzialności.

W poczuciu tej odpowiedzialności zastanawiamy się zarazem nad możliwymi następstwami tego listu dla Kościoła i życia społecznego. Myślimy, czy w Kościele tym wytworzy się klimat, który pozwoli wyzwolić się mu z oparów „pisowskiego zac zadania”, wyjść z obłożonej twierdzy i stanąć bez obaw wobec współczesnych przemian demokratycznych, aby tym przemianom nadawać ludzką twarz, słowem – pójść drogą listu o. Ludwika Wiśniewskiego. Wolno wyrazić nadzieję, że prędzej czy później Kościół dokona dobrego wyboru. Bo polski Kościół, niezależnie od wielu spraw, które nas, świeckich humanistów dzielą, często głęboko od Kościoła, jest rzeczywistością trwale obecną w polskiej tradycji i współczesności, wobec której odnosimy się z szacunkiem i troską o polskie dobro wspólne.

Zdzisław SŁOWIK

O TRAGEDII KATYŃSKIEJ I JEJ OFIARACH

Uchwała parlamentu Federacji Rosyjskiej z dnia 26 listopada 2010 roku

Publikujemy niżej ten doniosły dokument w przekonaniu, że tworzy on polityczny i moralny fundament polsko-rosyjskiego pojednania, że stworzy szersze niż istniejące dotychczas płaszczyzny współpracy, że doprowadzi też wyjaśnienie zbrodni katyńskiej do końca. Do bardziej osobistych przemyśleń czy interpretacji tego dokumentu zachęcamy, jak czynimy to często, Czytelników naszego czasopisma.

Redakcja

Siedemdziesiąt lat temu rozstrzelano tysiące polskich obywateli, którzy byli przetrzymywani w łagrach NKWD dla jeńców wojennych, także w więzieniach zachodnich obwodów Ukrainiejskiej i Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

W oficjalnej propagandzie radzieckiej odpowiedzialność za tę zbrodnię, którą zbiorczo nazwano tragedią katyńską, przypisywano zbrodniarzom nazistowskim. Wersja ta przez długie lata była przedmiotem utajonych, co nie znaczy, że mniej zażartych dyskusji w społeczeństwie radzieckim i niezmiennie wywoływała gniew, obrazę i nieufność narodu polskiego.

Na początku lat 90. nasz kraj wykonał ważne kroki na drodze do wyświecenia prawdy o tragedii katyńskiej. Uznano, że masowa zagłada polskich obywateli na terytorium ZSRR w czasie II wojny światowej była aktem przemocy totalitarnego państwa, które poddało represjom także setki tysięcy ludzi radzieckich za przekonania polityczne i religijne, stosując przy tym kryteria społeczne i inne.

Opublikowane materiały, które przez wiele lat były przechowywane w tajnych archiwach, nie tylko ujawniają skalę tej strasznej tragedii, ale i dowodzą, iż zbrodnia katyńska została dokonana na bezpośredni rozkaz Stalina i innych przywódców radzieckich.

Potępiając terror i masowe prześladowanie obywateli swojego kraju i obywateli innych państw jako nie do pogodzenia z ideą prymatu prawa i sprawiedliwości, Duma Państwowa Zgromadzenia Federalnego Federacji Rosyjskiej wyraża głębokie współczucie wszystkim ofiarom nieuzasadnionych represji, ich rodzinom i bliskim.

Kopie wielu dokumentów, które przechowywano w zamkniętym archiwum Biura Politycznego KC KPZR, przekazano już stronie polskiej. Deputowani do Dumy Państwowej są przekonani, że ta praca powinna być kontynuowana.

Należy nadal badać archiwa, weryfikować listy zabitych, przywracać dobre imię tych, którzy zginęli w Katyniu i innych miejscach, wyjaśniać wszystkie okoliczności tragedii.

Dzieląc smutek z polskim narodem, deputowani do Dumy Państwowej pamiętają, że Katyń jest tragicznym miejscem również dla naszego kraju. W dołach katyńskich spoczywają tysiące radzieckich obywateli zgładzonych przez reżim stalinowski w latach 1936–38. To właśnie na nich ćwiczone technologie masowych morderstw, którą później w tym samym miejscu zastosowano w stosunku do polskich jeńców wojennych. Obok znajdują się też mogiły radzieckich jeńców rozstrzelanych przez hitlerowskich katów w latach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

Nasze narody zapłaciły ogromną cenę za zbrodnie totalitaryzmu. Stanowczo potępiając reżim, który gardził prawami i życiem ludzi, deputowani w imieniu narodu rosyjskiego wyciągają przyjazną dłoń do narodu polskiego. Wyrażają też nadzieję na początek nowego etapu w stosunkach między naszymi krajami, które będą się rozwijać na gruncie wartości demokratycznych.

Osiągnięcie takiego rezultatu będzie najlepszym pomnikiem ofiar tragedii katyńskiej, które z wyczerpującą oczywistością zrehabilitowała już sama historia, oraz poległych w Polsce radzieckich żołnierzy, którzy oddali życie za jej wyzwolenie spod hitlerowskiego nazizmu.

Do Czytelników

i wszystkich zainteresowanych czasopismem RES HUMANA

RES HUMANA jest jednym z niewielu w Polsce czasopism podejmujących złożone problemy ludzkiego życia tak, aby było ono godne naszego człowieczeństwa; krzewimy przekonanie o słuszności myślenia racjonalnego; opowiadamy się po stronie wartości lewicowych.

Wszystkich zainteresowanych tymi treściami zachęcamy do czytania i prenumerowania naszego czasopisma. W 2011 koszt rocznej prenumeraty wnosi 40 zł. Radzimy, aby stosowne wpłaty realizować za pomocą przelewów na konto bankowe redakcji: nr 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146. Można to też czynić w drodze tradycyjnych przekazów pocztowych na adres redakcji (00-553 WARSZAWA, ul. Koszykowa 24/1).

CZYTANIE I PRENUMEROWANIE NASZEGO CZASOPISMA TO DOBRY WYBÓR.

Redakcja RES HUMANA

W KRĘGU WAŻNYCH PROBLEMÓW WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA

Jan SZMYD

„Chybotliwość moralna” w świecie współczesnym

1.

Przemiany w sferze wartości etycznych w epoce współczesnej są, jak wiadomo, bardzo złożone i dynamiczne. Mają one coraz większy wpływ na jakość życia zbiorowego i jednostkowego człowieka w globalizującym się świecie, w tym życia osobistego. Stosowane do opisu tego bardzo charakterystycznego dla współczesności i niemal z dnia na dzień nabierającego coraz większego tempa procesu przemian aksjologiczno-etycznych, terminy w rodzaju: „kryzys”, „relatywizacja”, „destrukcja”, „załamywanie”, „rozmywanie” itp. nie są dostatecznie adekwatne do zachodzących przemian, informacyjnie i wyjaśniająco w pełni użyteczne. Nie oznacza to jednak całkowitej ich bezużyteczności w opisie i charakterystyce interesującego nas tu procesu. Jednakże istnieje tu dodatkowa możliwość semantyczna. Otóż za pomocną, być może w znaczącej mierze, wolno uznać wprowadzoną do tych rozważań kategorię „chybotliwości” wartości etycznych i innych.

A więc główny rodzaj przemian wartości etycznych i innych w świecie współczesnym proponujemy określać mianem „chybotliwości”, oczywiście nie rezygnując z innych przydatnych tu pojęć zastanych, takich zwłaszcza jak pojęcie „kryzysu” i „relatywizacji”.

Pojęcie „chybotliwości” dotyczy zarówno istnienia i funkcjonowania wartości, jak i ich relacji do podmiotu ludzkiego: intelektualnego i emocjonalnego odbioru wartości, ich wewnętrznej akceptacji lub odrzucenia, wpływu na osobowość odbiorcy, na jego postawy życiowe, style życia, zachowania, bytowanie jednostkowe i wspólnotowe itp.

W szczególności zaś pojęcie to oznaczać może: poszerzanie się lub zwężanie, powiększanie lub zmniejszanie – w aktualnych kontekstach społecznych, kulturowych i cywilizacyjnych – pola praktycznie uznawanych i realnie uwzględnianych wartości etycznych oraz wynikających z nich zasad i powinności; większe lub mniejsze „uginanie się” pod naporem czynników zewnętrznych [ekonomicznych, politycznych, demograficznych, ekologicznych itp.] i zarazem bardziej lub mniej skuteczne „wprostowywanie się” [analogia do trzciny Pascala] żywotnego – w danym miejscu i czasie – by tak powiedzieć „kręgosłupa” porządku elementarnych wartości i prawideł postępowania; rozjaśnianie bądź zaciemnianie istotnego znaczenia i ważności obiektywnych kryteriów podstawowych dóbr i wyborów moralnych; integrację lub dezintegrację spójności historycznie i życiowo ukształtowanych systemów wartości i reguł postępowania.

Kategoria „chybotliwości” oznaczać nadto może zwiększanie lub pomniejszanie gotowo-

ści i potrzeby osobistej akceptacji oraz praktycznej realizacji określonego kręgu podstawowych wartości i zasad etycznych; wrastanie lub obniżanie poziomu właściwego rozumienia i doceniania ich roli i znaczenia w życiu zbiorowym i osobistym, „rozbudzanie” lub „usypianie” indywidualnej i społecznej wrażliwości moralnej, otwieranie się lub zamykanie. Na drugiego człowieka, ożywianie lub wędnięcie odniesień empatycznych, altruistycznych i humanistycznych w interakcjach międzyludzkich; rozbudzanie bądź stygnięcie skłonności i motywacji humanitarnych i opiekuńczych, itp.

Charakterystyczną cechą „chybotliwości moralnej” – w wyżej wymienionych jej aspektach czy płaszczyznach – jest przede wszystkim to, że mimo większej lub mniejszej chwiejności zewnętrznej określonych jakości moralnych, tkwiących w naturze ludzkiej, by ponownie użyć określenia metaforycznego – „korzeń moralności” pozostaje w swym naturalnym podłożu w zasadzie nienaruszony, a w każdym razie całkowicie nie „wykorzeniony”, a „drzewo moralności” pozostaje w swym naturalnym gruncie, czyli w podmiotowości człowieka psychicznie zdrowego i patologicznie nie zdeformowanego, w syndromie cech, które składają się na jego istotę, zasadniczo nienaruszone – bez względu na to, jak mocna i częsta jest jego „chybotliwość” oraz w jakim czasie i w jakiej sytuacji społecznej, kulturowej czy egzystencjalnej się ona dokonuje.

Ten względnie trwały i nienaruszalny związek czy „korzeń moralności” jest, jak to wiele teorii antropologicznych i filozoficznych oraz powszednich doświadczeń ludzkich wykazuje, przyrodzony naturze ludzkiej – oczywiście nie licząc dewiacyjnych jej przypadków oraz wyjątkowo ekstremalnych i nietypowych okoliczności zewnętrznych – pierwiastek etyczny, zwany sumieniem czy poczuciem moralnym, „ja” etycznym czy „instynktem” moralnym, konstytuuje tzw. „moralność naturalną”; moralność na różne sposoby potwierdzoną zarówno w wielu kierunkach współczesnej filozofii¹, jak i w niektórych naukach społecznych².

2.

Warto zauważyć, że ten syndrom zjawisk i procesów, który określamy tu mianem „chy-

botliwości moralnej”, a dotyczącej zarówno psychoneurologicznych i osobowościowych, jak i aksjologicznych i normatywnych aspektów moralności, wykazuje różną intensywność i częstotliwość oraz różnorakie formy i przejawy oraz społeczne i życiowe konsekwencje w różnych okolicznościach oraz w odmiennych przypadkach wyborów i zachowań moralnych poszczególnych jednostek i zbiorowości ludzkich. Aktualne przejawy życia społecznego i rzeczywistości moralnej w naszym kraju dostarczają dla tego stanu rzeczy wielu wymownych przykładów.

Czyli można powiedzieć, że ów syndrom ma swoją historię i tradycję, która jest integralną częścią historii moralności i tradycji kulturowej. Ma też swój rozległy wymiar i silną dynamikę w społecznym „tu i teraz”. Ogólnie jednak da się powiedzieć, że epoka współczesna, z charakterystycznymi dla niej procesami globalizacyjnymi, technologicznymi, informatycznymi oraz z rosnącymi wpływami mediów, komercjalizmu i konsumeryzmu itp., z większą mocą niż wszystkie inne dotychczasowe epoki stymuluje i dynamizuje „chybotliwość” zastanych porządków i łańdów w sferze podstawowych wartości i zasad etycznych oraz w dziedzinie osobowych doświadczeń, ocen i wyborów moralnych. Równocześnie w zasadzie nie narusza ona mocno i dogłębnie – jak się jednak ukazuje – zakorzenionego w naturze ludzkiej czynnika moralnego [obojętnie jak go nazwiemy i teoretycznie wyjaśnimy] i nie załamuje doszczętnie podstawowego trzonu elementarnych wartości i zasad etycznych, co oczywiście ma fundamentalne znaczenie dla prawidłowego kształtowania się życia społecznego w jego przyszłości, w tym dla życia rodzinnego i pararodzinnego [związki alternatywne] oraz dla egzystencji jednostkowej człowieka w zdecydowanie niesprzyjającej trwałości i uniwersalności porządków moralnych i aksjologicznych epoki „płynnej nowoczesności”.

Dlatego też teorie oznajmiające załamanie się fundamentów moralności w dobie obecnej, jej upadek czy nieodwracalny regres wydają się filozoficznie i naukowo nieuprawnione, społecznie zaś destrukcyjne i bałamutne. Podobną ocenę odnieść też można do wpływowego współcześnie radykalnego relatywizmu aksjologicznego i do tzw. destruktywizmu [postmodernizm, neopragmatyzm, filozofie chaosu, itp.].

Sytuacja we współczesnej rzeczywistości moralnej jest bardzo złożona. Wskazuje na to choćby to, że bezspornemu, poszerzającemu się – w tym polskiej jej odmianie – procesowi relatywizacji wartości w świadomości i postawach człowieka epoki „ponowoczesnej” towarzyszy coraz bardziej widoczny i zdobywający uznanie proces przeciwny, tzn. proces tworzenia różnorodnych koncepcji antyrelatywistycznych, konstruktywistycznych, holistycznych. Zaznaczają się one głównie w różnych odmianach filozofii środowiskowej i ekologicznej [T. Rolston, H. Clinbell, M.E. Zimmerman, A. Leopold, H. Skolimowski i inni], w nowszych filozofiach życia [A.T. Tymieniecka, P. Singer. K. Lorenc i inni] w dynamicznie rozwijających się nurtach etyki globalnej i ekoetyki [H. Jonas, P. Singer, Z. Bauman i inni] oraz w tzw. uniwersalnym preskrytywizmie [R.M. Hare], teorii rozwoju moralnego L. Kohlberga, naturalizmie i uniwersalizmie H. McDonalda i innych³.

W filozofiach ekologicznych na uwagę zasługuje nie tylko podnoszenie, podobnie zresztą jak w różnych nurtach etyki globalnej, nowych uniwersalnych wartości, takich np. jak to, że człowiek z wszystkich kultur, cywilizacji, tradycji i regionów świata uznany winien być za równoważną wartością samą w sobie, autoteliczną i jednocześnie równoważne winny być zobowiązania moralne wobec niego, że życie, we wszystkich swych przejawach i postaciach [nie tylko ludzkie, ale też i pozaludzkie], traktowane powinno być za wartość autoteliczną. Ale nadto na podkreślenie zasługuje formułowanie takich nowych elementarnych zasad i wymogów moralnych, jak np. empatyczne odnoszenie się do całej ekosfery i przyjęcie przez każdego człowieka roli odpowiedzialnego i troskliwego jej opiekuna – strażnika, uznanie równoważnej rangi każdego jej składnika, nie tylko ludzkiego, antropologicznego, ale i innego.

Oczywiście, wszystko w człowieku jako swoistym i ewolucyjnie kształtowanym bycie i stworzonym przezeń świecie, w tym świecie wartości i zasad moralnych jest zmienne i relatywne, „płynne” i współzależne, ale nie należy, jak to czynią niektórzy autorzy związani ideowo z postmodernizmem lub ze zbliżonymi doń filozoficznie i światopoglądowo orientacjami myślowymi, absolutyzować „płynności” i relatywności niczego w tej sferze bytu i by-

towania, jakim jest byt ludzki, jednostkowy i zbiorowy egzystencja człowieka, jego natura i istota, duchowość i człowieczeństwo, rozwój gatunkowy i cywilizacyjny.

Metaforycznie rzecz wyrażając w „płynnym” świecie i w „płynnych” sytuacjach znajdują się „substancje” czasowo bardziej lub mniej „utwardzone”, „ciała” i stany rzeczy przejściowo stałe, jakby „kryształły”, które płynąc w ogólnym strumieniu zachowują jednak swą nierozmiękczoną i względnie zwartą konsystencję.

Należą do nich m.in. pewne cechy natury ludzkiej, niektóre składniki podmiotowości i tożsamości indywidualnej i zbiorowej człowieka psychicznie zdrowego, jego jednostkowego i wspólnotowego „ja”, np. „ja” osobowościowego, etnicznego, narodowego, ogólnoludzkiego. Należą do nich też pewne układy podstawowych wartości i zasad moralnych, których ocenę, wybór, przestrzeganie albo zaniechanie należy odróżniać od sprawy ich „istnienia”, wygasania czy ożywiania się ich naturalnych źródeł; rzeczywistego wiednięcia lub zamierania od silniejszej lub słabszej ich chybliwości czy chwiejności. Przy czym należy założyć, że owa chybliwość czy chwiejność nie przesądza o ich źródłach, korzeniach i w ogóle o istnieniu, a ukazuje jedynie większe lub mniejsze ich „drżenie”, „falowanie”, zmienną funkcjonalność i dynamikę oraz wieloraką zależność od czynników podmiotowych [psychicznych, osobowościowych] i zewnętrznych [sytuacyjnych, społecznych, kulturowych, cywilizacyjnych itp.]

3.

Można ogólnie stwierdzić, że rzeczywistość moralna (teorie i systemy etyczne, kultura i praktyka moralna) jest w istocie swej niejednorodna z rzeczywistością cywilizacyjną (techniką, infrastrukturą materialną, instytucjami społecznymi i politycznymi, aktualnymi standardami i stylami życia itp.).

A nadto daje się stwierdzić, że te dwie, w gruncie rzeczy odrębne, choć od siebie w pewien sposób zależne, rzeczywistości nie rozwijają się równocześnie i równolegle: **postęp cywilizacyjny nie idzie w parze z postępem moralnym, czego przykładem jest m.in. to, że niektóre społeczności znajdujące się na niższych szczeblach rozwoju cywilizacyjne-**

go osiągają wyższą jakość życia moralnego, aniżeli społeczeństwa wysoko rozwinięte i w zasadzie ich kultura moralna – jak zresztą cała ich kultura – jest w głównej mierze nieporównywalna z kulturą moralną i z pozostałymi składnikami kultury społeczeństw wysoko rozwiniętych.

Z drugiej jednak strony nie da się zaprzeczyć temu, że istnieje pewna współzależność określonych typów cywilizacji i moralności, co na licznych przykładach wykazuje współczesna antropologia społeczna i kulturowa oraz historia kultury i etyki.

Ogólnie rzecz biorąc pewne typy cywilizacji – i etapy ich rozwoju – jak np. cywilizacja buddyjska czy konfucjańska, a częściowo także islamistyczna bardziej niż inne sprzyjały i sprzyjają nadal moralności; w rozmaity sposób ją ożywiały i stymulowały – i taką rolę spełniają nadal. Inne zaś typy cywilizacji spełniały i spełniają w stosunku do moralności funkcję ambiwalentną, wieloznaczną. Mianowicie z jednej strony inspirują i kultywują moralność, dostarczają jej silnych bodźców rozwojowych, dobrych warunków dla jej pomyślnego kształtowania się, z drugiej hamują jej progresywne zmiany, albo wręcz deformują i niszczą ją – oczywiście to, co jest w niej do zdeformowania lub zniszczenia. bo przecież nie wszystko w moralności ulec może całkowitej deformacji lub destrukcji.

Przykładem tego typu nie dość korzystnej dla moralności i ambiwalentnego do niej stosunku jest cywilizacja techniczna Zachodu na obecnym postprzemysłowym i informatycznym etapie swego rozwoju⁴.

Mówiąc obrazowo, w cywilizacji tej rzeczywistość ekonomiczna, polityczna, informatyczna oraz ogarniające ją procesy globalizacyjne zdecydowanie jak gdyby „osaczają” rzeczywistość moralną, brutalnie i bezpardonowo podporządkowują ją sobie, a nawet restrykcyjnie nad nią zapanowują, czyniąc z niej nierzadko swoiste „getto”, do którego mechanicznie i bezwiednie, ale jednak dość skutecznie, spychane są nawet podstawowe wartości i zasady etyczne, zwłaszcza wartości duchowe i humanistyczne.

Złowrogą mocą w kwestii „moralnego getta” jest przede wszystkim globalizujący się system ekonomiczny, który nie tylko rodzi i potęguje wyzysk człowieka przez człowieka, łamie solidarność międzyludzką w skali lo-

kalnej i międzynarodowej, generuje i nasila niesprawiedliwość społeczną, rozwiera coraz szerszej rozpiętość między sferą biedy i ubóstwa a sferą bogactwa i posiadania, ale czyni coś jeszcze społecznie i moralnie gorszego, a mianowicie kreuje sytuacje wykluczenia z obiegu tego systemu coraz szerszych rzesz ludzkich i czyni z ludzi istoty „na przemiał”; ludzi niepotrzebnych i do wyrzucenia, a przy tym ludzi w gruncie rzeczy niemal bezradnych wobec tego systemu, co oznacza narodziny nowej, niezwykle groźnej dla człowieka alienacji społeczno-ekonomicznej, pozbawiającej coraz więcej ludzi nie tylko godziwych warunków życia, ale podstawowych ich praw i godności, nasilającej nie tylko „chylotliwość” podstawowych wartości moralnych, ale zagrażającej nawet – używając przyjętej w tym tekście metaforycznej terminologii – „korzeniom” moralności jako takiej [w ostateczności moralność można jednak na pewnym obszarze i na jakimś czas w znacznej mierze „wykorzenieć”]⁵.

4.

Można mieć jednak nadzieję, że zawiązujące się w coraz bardziej globalizującej się cywilizacji technicznej i w tzw. „płynnej” nowoczesności „getto moralne” zrodzi z czasem – ewolucyjnie bądź rewolucyjnie – dostatecznie mocne impulsy i siły – społeczne i moralne – do zmiany systemu ekonomiczno-społecznego, który obiektywnie rodzi „getta moralne” i zapędza do nich coraz więcej ludzi; który nasila i przyspiesza chylotliwość wyższych, duchowych, autotelicznych wartości, w tym podstawowych wartości moralnych, a nawet wysusza na dłuższy czas naturalne podglebie życia moralnego.

Można mieć taką nadzieję, choć – oczywiście – pewności na jej spełnienie nie ma i prawdopodobnie być nie może. Można i trzeba mieć taką nadzieję – i teoretycznie – jak w tej wypowiedzi – ją hipotetycznie wyrażać. Można i trzeba ufać, że człowiek pozostanie jako „ethical man” czy jako „ethical agent”, nie zaś jako „non ethical man”, czy „non moralis homo”; że jego – jak próbowaliśmy w tym tekście wykazać – przeniknięta pierwiastkiem moralnym natura ludzka – taką nadzieję uprawnia.

Można i trzeba żywić taką nadzieję mimo faktu, że żyjemy w takim typie cywilizacji i na takim etapie jej rozwoju, kiedy pojawia się

szczególnie duże nasilenie różnorodnych zagrożeń dla moralności i kiedy nie zdezwauowała się teza zgodnie z którą natura ludzka jest pod względem moralnym jawnie lub niejawnie ambiwalentna, tzn. moralna i amoralna i że niemoralność, tak jak i moralność należą do integralnych składników bytu ludzkiego a niemoralność jest w pewnym sensie nieodłączną częścią moralności; tak jak „nienaturalność” jest w jakiejś mierze nierozdzielną częścią „naturalności”.

W konkluzji tych rozważań da się być może stwierdzić, że mimo różnorodnych przeszkód i trudności, które stwarza dla ludzkiej duchowości cywilizacja współczesna, człowiek nadal pozostaje jako „homo ethicus” czy „homo agent” i zawdzięcza podtrzymanie tego autentycznie ludzkiego swego statusu – mimo nasilającej się „chybotliwości moralnej” – tej szczególnej cesze swej natury, którą nazwalibyśmy „moralnością naturalną”.

5.

Na koniec nasuwa się uwaga o charakterze edukacyjnym. Otóż te dwa naczelne pojęcia na których skupiliśmy się w tym artykule, a mianowicie pojęcie „moralności naturalnej” i „chybotliwości moralnej” oznaczają nie tylko główne, zdecydowanie wyróżniające się w każdej aktualnej rzeczywistości moralnej, fakty empiryczne; fakty bezsporne, choć rozmaicie opisywane i wyjaśniane przez czołowych przedstawicieli współczesnej myśli antropologicznej i etycznej (niektórych spośród nich przywołaliśmy do naszych rozważań). Zakwestionowaniu nie ulega zarówno istnienie tych faktów – są one przecież łatwo dostępne zarówno w poznaniu naukowym, jak i w indywidualnych i społecznych doświadczeniach.

Równocześnie pojęcia: „moralność naturalna” i „chybotliwość moralna” wskazują na bardzo trudne i w znacznej mierze nowe zadania, a zarazem poważne wyzwania, przed którymi stają współczesna teoria i praktyka wychowania i edukacji etycznej, czy w ogóle edukacji humanistycznej jako takiej; zadania i wyzwania, z którymi nie w pełni sobie one, jak dotąd, radzą⁶.

W pierwszym przypadku, tzn. przy zagadnieniu „moralności naturalnej” chodzi – najogólniej rzecz biorąc – o potrzebę umiejętnego i skutecznego zastosowania w wychowaniu

moralnym, zarówno indywidualnym, (np. rodzinnym), jak i instytucjonalnym, (np. szkolnym), takich metod i środków oddziaływania wychowawczego, które by odpowiednio stymulowały, rozwijały i kultywowały naturalny potencjał moralny każdego człowieka w postaci wrażliwości i poczuciowości moralnej.

W drugim zaś przypadku – przy problemie „chybotliwości moralnej” – chodzi o stałe i możliwie wyczerpujące wyposażenie każdego podmiotu ludzkiego (potencjalnie, jak się tu zakłada, moralnego: człowiek jako „homo ethicus”) w niezbędne elementy wiedzy antropologicznej, humanistycznej i etycznej oraz w podstawowe elementy kultury indywidualnej i kultury ogólnoludzkiej; wiedzy i kultury, które pozwalały by mu na względnie dojrzałe, światłe i rozumne, roztropne i proudzkie „wychodzenie” z na ogół trudnych i skomplikowanych stanów „chybotliwości” moralnej i aksjologicznej. A przynajmniej umożliwiałyby mu podejmowanie refleksyjnej [deliberacyjnej], racjonalnej oraz na planie długofalowej i wyostrzonej wyobraźni osadzonej oceny skutków życiowych, egzystencjalnych i społecznych tych stanów.

W czasach współczesnych z nader licznych i poważnych powodów – nie ma tu miejsca na ich wyliczenie i charakterystykę – zarówno szkolną, jak i poza szkolną edukację etyczną (wychowanie moralne) uznać należy za bezalternatywną konieczność społeczną – taki jest po prostu elementarny wymóg „płynnej nowoczesności”. Ale edukację tę trzeba podejmować i przeprowadzać „po nowemu”, według nowej, a w każdym razie radykalnie zmodyfikowanej teorii wychowania.

Wymaga ona zaniechania lub oddalenia na dalsze plany takiej czy innej moralnej indoktrynacji, „wpajania” i „zaszczepiania” wychowankom (nie tylko zresztą dzieciom i młodzieży, ale także i ludziom starszym) określonych wartości i zasad etycznych, reguł i powinności moralnych, ale przede wszystkim na kształtowaniu umiejętności refleksyjnej, poznawczo i rozumiejąco pogłębionej, oceny wartości, dojrzałych i krytycznych osądów ich użyteczności społecznej i życiowej, czujnego i konsekwentnego „egzaminowania” ich z punktu widzenia realnej przydatności dla życia w „tu i teraz” i dla trudnego ale też potrzebnego przysposobiania się do życia w możliwej do przewidzenia zmiennej i liczne wyzwania

nasuwającej przyszłości. Zaś dla ukształtowania tej niezbędnej dla każdego współczesnego człowieka umiejętności etycznej konieczny jest zarówno odpowiedni poziom dojrzałości emocjonalnej i osobowej, jak i – a może przede wszystkim – należyty rozwój intelektualny jednostki ludzkiej, łącznie z wyobraźnią naukową i wrażliwością humanistyczną. Samo odwoływanie się do uzasadnień, „uświęceń” owych wartości i zasad w tradycji, religii, obyczaju itp. obecnie ewidentnie już nie wystarcza – jeśli te wartości i zasady mają być „żywe”, realnie funkcjonujące i życiowo przydatne, a w konsekwencji – jeśli konkretny człowiek ma z obronną ręką wychodzić z przydarzającej się mu „chybotliwości moralnej”.

Tak więc przed nowoczesną edukacją etyczną i aktualnym wychowaniem moralnym stają nader ważne, trudne do przecenienia – ze względu na ich rangę i znaczenie – zadania i wyzwania zarazem.

Są to w znacznej mierze teoretycznie nowe, a także i praktycznie nie dość „oswojone”, nie mające większych precedensów w dotychczasowej jej historii i – niestety – nie wykazujące, na razie, większych sukcesów w dziedzinie ich skutecznego rozwiązywania we współczesnej teorii i praktyce wychowawczej. Stąd duża, jak się wydaje, aktualność i społeczna waga poruszonego w tym artykule zagadnienia.

Przypisy

¹ Por. *Filozofia wobec XXI wieku*. Pod red. L. Gawrona. Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2004; Zygmunt Bauman, *Płynna nowoczesność*. Przekład Tomasz Kunz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2006.

² Por. Witold Mackiewicz, *Filozofia współczesna w zarysie*. Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego

go. Warszawa 2008; Józef Bańka. Wiesław Sztumski, *Ekorecentywnizm jako idea ochrony środowiska człowieka współczesnego*, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2007; Henryk Skolimowski, *Wizje nowego Millenium*, EJB Wydawnictwo. Kraków 1999; Janusz Czerny, *Czy prawo Moore’a zdetrzonizuje osobę ludzką*, Wydawnictwo KOS, Katowice 2005.

³ Por. m.in.: A. Bronk [red], *Filozofować dziś. Z badań nad filozofią najnowszą*, TN KUL, Zygmunt Bauman, Keith Tester, *O pożytkach z wątpliwości. Rozmowy z Zygmuntem Baumanem*, Przeł. E. Krasieńska, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2003; *Człowiek i świat. Współczesne dylematy*. Rozmowy Zdzisław Słowika, Biblioteka „Res Humana”, Warszawa 2007; Peter Singel, *Przewodnik po etyce*. Pod red. Petera Singera. Redakcja Naukowa wydania polskiego; Joanna Górnicka. „Książka i Wiedza”, Warszawa 2000; *Etyka wobec problemów współczesnego świata*. Pod red. Haliny Promieńskiej, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2003.

⁴ Por. Jan Szmyd: *Kryzys moralności w świecie ponowoczesnym*, „Edukacja Filozoficzna”, Uniwersytet Warszawski, Instytut Filozofii, 46. 2008, Warszawa, s. 57–76; tenże: *Pogoda dla etyk sumienia – nie dla kodeksów i nihilizmu moralnego*, „IDO – Ruch dla Kultury”, vol. 10, no. p. 11–16.

⁵ Por. m.in.: Tadeusz Kotarbiński, *Sprawy sumienia*. Warszawa 1956; Włodzimierz Szewczuk, *Sumienie. Studium psychologiczne*. „Książka i Wiedza”, Warszawa 1988; Józef Bańka, *Sumienie jako poręczenie moralne wyboru najlepszego*, [w] *Etyka wobec problemów współczesnego świata*. Pod red. Haliny Promieńskiej, cyt. wyd.; Peter Singer *Jeden świat. Etyka globalizacji*, „Książka i Wiedza”, Warszawa 2006.

⁶ Por. Paul Kurtzm, *Education for the Future: The Liberating Arts*. „ree Inquiry”, Celebrating Reason and Humanity, August/September 2010, No. 5. p. 23–25; Jan Szmyd, *Czy w świecie „płynnej nowoczesności” można budować trwałą i skuteczną teorię wychowania?* [w:] *Mysł i praktyka edukacyjna w obliczu zmian cywilizacyjnych*. Praca zbiorowa pod red. J. Szmyda, Uniwersytet Rzeszowski, Rzeszów 2010 (w druku).

Autor jest znanym i cenionym profesorem filozofii, związanym z Uniwersytetem Pedagogicznym w Krakowie, autorem wielu książek, studiów, artykułów, należy do grona najbliższych współpracowników naszego czasopisma.



MĄDROŚĆ I TOLERANCJA

Te dwa słowa – MĄDROŚĆ i TOLERANCJA – czynimy tytułem tej rubryki, w której przedstawiamy relacje z dwóch spotkań ukazujących wartość i wagę tych słów nie tylko dla bohaterów tych spotkań, ale dla wszystkich, którym słowa te są znakiem ich codziennej działalności.

Redakcja

KOWADŁO „KUŹNICY” DLA PROFESORA ZYGMUNTA BAUMANA

W Audytorium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego, 29 października 2010 r., odbyło się spotkanie z prof. Zygmuntem BAUMANEM, które zbiegło się z osiemdziesiątą piątą rocznicą Jego urodzin oraz z wręczeniem Mu tego dnia przez krakowskie stowarzyszenie KUŹNICA prestiżowego wyróżnienia KOWADŁEM nadawanym wybitnym osobistościom świata nauki i kultury, tym, dla których słowa MĄDROŚĆ I TOLERANCJA stanowią właśnie wartość najwyższą.

Uroczystego wręczenia KOWADŁA Jubilatowi, którą poprzedziła laudacja wygłoszona przez doc Andrzeja KURZA, dokonał prezes KUŹNICY prof. Hieronim KUBIAK. Następnie głos zabrał prof. Zygmunt BAUMAN (tekst tego wystąpienia drukujemy na podstawie zapisu magnetofonowego, a jego tytuł i redakcję dokonaliśmy własnymi siłami i na własną odpowiedzialność).

Zygmunt BAUMAN

O nierównościach społecznych i innych sprawach współczesnego świata

Chcę powiedzieć krótko o nierównościach społecznych w świecie współczesnym, a ściślej o zmianach jakie dokonały się i dokonują w mechanizmach tworzenia się nierówności społecznych w warunkach triumfu modernistycznego modelu życia w skali globalnej. Następnym jest powstanie sytuacji, w której – choć poziom życia także w krajach ubogich powoli się podnosi (nawet w krajach najwyższego wzrostu gospodarczego jak w Chinach czy Indiach), liczba ludzi ubogich jest nadal przerażająco wysoka.

Natomiast w krajach „starych”, jak nasz region, w wyniku tych samych przemian modernizacyjnych nierówności nie tylko rosną, lecz ich wielkość czy skala dysproporcji pomiędzy warstwami wyższymi a niższymi, przeraźliwie się powiększa. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej np. jeszcze 30 lat temu 1 procent najbogatszych Amerykanów pochłaniało 8 procent dochodu narodowego, a obecnie – ten 1 procent przywłaszcza sobie 23 procent tego dochodu, co oznacza wzrost trzykrotny, i co ilustruje skalę społecznych nierówności. Te dysproporcje rosną we wszystkich krajach na świecie, i trzeba je uznać za wyraźnie widoczną tendencję naszych czasów. Jej efektem są zdumiewające wręcz zjawiska, jak np. 20. procentowe bezrobocie w Hiszpanii, w kraju przecież wysoko rozwiniętym, o którym mówiło się jeszcze niedawno jako o kraju wielkiego sukcesu.

Kto obliczył, pytał Jose Saramago, zmarły niedawno wielki pisarz portugalski, noblista, ilu jest ludzi doświadczających dziś beznadziei, strachu o jutro, degradacji, często zniewagi, i ilu ludzi biednych czy wykluczonych tworzy jednego bogatego człowieka? Kto to obliczył? Czy zechce to zrobić?

Nadszedł czas, aby na to pytanie Jose Saramago ktoś w końcu odpowiedział.

(Burzliwe oklaski)

Dwa pytania zadał Profesorowi jeden z uczestników spotkania: 1) Czy istnieje dziś globalne społeczeństwo obywatelskie, a jeśli istnieje to czy będzie ono zdolne do zaludnienia opustoszałej dziś sfery publicznej; 2) Czy wśród różnych tożsamości istniejących w czasach płynnej ponowoczesności dostrzega Pan również miejsce dla tożsamości kosmopolitycznej. Mam na myśli nie tyle owych, jak Pan to określa, „nieobecnych dziedziców”, ale o tożsamość ukierunkowaną na kwestie globalnej sprawiedliwości. Czy sądzi Pan, że taki typ tożsamości kosmopolitycznej może odegrać istotną rolę w przyszłości?

Prof. Zygmunt Bauman, odpowiadając na te pytania, powiedział:

Dotknął Pan sprawy, która mnie gnębi i bez rozwiązania której przyjdzie mi umrzeć, ale Pana kolegom, znacznie ode mnie młodszym, przyjdzie te sprawy rozwiązywać.

A sprawa, o której mówię, to sprawa dysproporcji czy separacji między, że tak powiem, młodszą polityką. Oto stosunkowo do niedawna uważaliśmy powszechnie, że za sprawą *political show* i nieba, którego żaden człowiek na ziemi nie może doświadczyć, naszą wspólną siedzibą, gdzie prowadzimy nasze gospodarstwa, jest państwo narodowe. Nie zaprzęтали sobie głowy ludzie prawicy i lewicy jeszcze 40–50 lat temu nad tym, kto będzie realizował te programy, które formułowali i które uważali za słuszne; jaki moloch czy jaka potężna agencja czy jaka moc, dysponująca zdolnością posługiwania się instrumentami inżynierii społecznej, zdolna będzie określać kierunki w jakim te przemiany powinny zmierzać.

Otóż dzisiaj mamy sytuację zgoła odmienną: suwerenność państw i narodów doznała wielkiego uszczerbku, a to z tego powodu, że owa moc wyparowała w przestrzeń eksterytorialną, w „przestrzeń przepływów”. Natomiast polityka pozostaje w starej siedzibie tak, jakby jeden małżonek wyniósł się w przestrzeń eksterytorialną, a drugi – polityka, siedzi nadal w państwowo-narodowym domu.

W związku z tym mamy dziś do czynienia z istnieniem dwóch wałęsających się składników tego tandemu: z jednej strony MOC globalnych korporacji, nie podlegająca kontroli politycznej, kierująca się swoimi własnymi impulsami czy po prostu własnymi interesami (w którym nie liczy się żadne prawo narodów i państw), a z drugiej – mamy politykę państw i narodów pozbawioną zdolności wykonywania bardzo wielu funkcji, do których państwo to było powołane przez siły społeczne, także przez społeczeństwo obywatelskie.

Oto po raz pierwszy stanęliśmy wobec pytań: czy obecnie istnieje sposób pozwalający wyzwolić się z tej dramatycznej sytuacji: odpowiadam – nie, nie istnieje; czy są siły społeczne zdolne podjąć skutecznie to wyzwanie: odpowiadam: nie, nie istnieją.

(Również i ta wypowiedź spotkała się z żywą reakcją zebranych)

POSTSCRIPTUM

Krakowskie wystąpienie prof. Zygmunta Baumana wpisuje się w trwającą od pewnego czasu wielką debatę intelektualistów na temat perspektyw rozwoju świata po wciąż zresztą niewygasłym kryzysie gospodarki wielu najważniejszych potęg światowych.

Co dalej z dotychczasowym, liberalnym lub neoliberalnym, modelem współczesnej gospodarki kapitalistycznej; co dalej z demokracją liberalną i jej zdolnością stawienia czoła wielorakim i coraz bardziej agresywnym atakom sił fundamentalistycznych i populistycznych, sił nacjonalistycznej czy klerykalnej prawicy; co dalej z państwem jako państwem prawa, z zakresem jego pełnionych ról i zadań w obliczu mocy zespolonych sił globalnego kapitału, nie kryjącego aspiracji panowania nad światem; co dalej z człowiekiem, z zakresem jego praw i wolności, jego prawem do życia godnego?

Oto pytania, jaki stawiają sobie uczestnicy wspomnianej debaty, szukający zarazem dróg wyjścia z nabrzmiewającej sytuacji. Przytoczmy niżej dwa wyimki tekstów dwóch wybitnych uczestników tej debaty z ostatnich niemal dni.

Beniamin BARBER (wybitny politolog amerykański, autor światowego bestsellera *Dżihad kontra McŚwiat*):

„Dzisiaj wielkie korporacje, banki, media, potężne partie, rządy walczą o przywileje dla siebie i są w stanie sprawić, że większość ludzi o rozmaitych poglądach i mających zróżnicowane aspiracje – religijni i niewierzący, biedni i ci z klasy średniej, nie mający nic wspólnego z wyżej wymienionymi grupami przywilejów – głosują w wyborach wbrew własnym interesom. Tak długo, jak ludzie – zarówno w Ameryce, jak i w Europie – będą głosować za przywilejami dla wielkich grup, które ich wykorzystują, eksploatują, tak długo demokracja nie będzie w stanie odpowiedzieć na zasadnicze problemy, uporać się z zagrożeniami ... Ruchy polityczne i społeczne muszą to w końcu dostrzec” (Z wywiadu udzielonego Arturowi Domosławskiemu, w: „Gazeta Wyborcza – Gazeta na Święta”, 24–26 grudnia 2010).

Jurgen HABERMAS (jeden z najwybitniejszych socjologów współczesnych, kontynuator dziedzictwa słynnej frankfurckiej szkoły „filozofii krytycznej”):

„Im bardziej kurczy się przestrzeń działania rządów i im potulniej polityka ulega temu, co jawi się nieuchronną koniecznością ekonomiczną, tym bardziej kurczy się zaufanie społeczne do pograżającej się w rezygnacji klasy politycznej” (Z artykułu zamieszczonego w „The New York Times”, za „GW” z 6–7 listopada 2010).

ZASŁUŻENI DLA TOLERANCJI

Drugim, bliskim nam swym przesłaniem spotkaniem, było wyróżnienie przez Polską Fundację Ekumeniczną TOLERANCJA grupy wybitnych osobistości polskich i zagranicznych Medalami ZASŁUŻONYCH DLA TOLERANCJI. 17 listopada 2010 roku, podczas uroczystego spotkania w gościnnej sali warszawskiego Teatru Żydowskiego polskimi Laureatami Medalu wyróżnieni zostali:

- poseł Ryszard KALISZ, znany prawnik i działacz polityczny, przewodniczący nadzwyczajnej komisji Sejmu RP powołanej do wyjaśnienia śmierci Barbary Blidy;
- prof. Bronisław ŁAGOWSKI, filozof i historyk idei, em. profesor UJ oraz Akademii Pedagogicznej w Krakowie, autor wielu znanych i cenionych książek, studiów, także felietonów;
- Andrzej WIELOWIEYSKI, działacz katolicki i ceniony publicysta, b. parlamentarzysta.

Z kolei zagranicznymi Laureatami Medalu zostali wyróżnieni:

- Bente KAHAN, norweska aktora, niestrudzona krzewicielka idei tolerancji nie tylko w swoim kraju;
- dr Uri HUPPERT, znany prawnik i politolog izraelski, urodzony w Polsce, wybitny działacz ruchu społecznego sprzeciwiającego się przejawom fundamentalizmu religijnego w swoim kraju, wielki przyjaciel Polski.

Nagrody zespołowe otrzymali:

- Polsko-Rosyjska Grupa ds. Trudnych w osobach prof. Adama ROTFELDA i prof. Anatolia W. TORKUNOWA, grupa, której praca przyczyniła się istotnie do zasadniczego zwrotu w stosunkach polsko-rosyjskich;
- Stowarzyszenie „Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata” oraz Towarzystwo im. Jana Karskiego.

W imieniu gospodarzy i organizatorów spotkania Laureatów oraz licznie przybyłych gości witał dyrektor Teatru Szymon SZURMIEJ, a w imieniu Kapituły Medalu Tolerancji jej przewodniczący prof. Jerzy J. WIATR.

Poniżej drukujemy fragmenty wystąpień kilku Laureatów MEDALU TOLERANCJI, które zebrani wysłuchali z uwagą i przyjęli z głębokim szacunkiem.

Uri HUPPERT

Nie szukałem nagród. Raczej w bólu i z uczuciem wielkiej przegranej reasumuję swoje czterdziestoletnie batalie o humanizm, o racjonalizm i o tolerancję.

Czasem były to fizyczne potyczki w różnego rodzaju demonstracjach, referatach, artykułach, w gorących debatach, lecz nie mniej w ciągłym konflikcie ze ślepotą, z nieświadomością, z poddaniem się losowi i z bezsilnością społeczeństwa, a szczególnie z obojętnością.

Pozwolę sobie w tym miejscu przytoczyć słowa swoistego ostrzeżenia wypowiedziane przez Leszka Kołakowskiego: „Zobojętniała większość oczyszcza pole dla fanatyków”. Wspominam także głośną wypowiedź francuskiego politologa, wielkiego adwersarza i kompana Jeana Paula Sartre – Raymonda Arona, który w latach pięćdziesiątych ubiegłego (XX) stulecia zadeklarował, co następuje: „Świeckie izmy umarły, rozpoczęła się era humanizmu”.

Niestety, współczesny XXI wiek od zarania charakteryzował się czarnym fanatyzmem zadając kłam wizji Profesora. Jesteśmy świadkami religijnego, despotycznego terroru, braku tolerancji i zjadliwego fundamentalizmu cynicznie nadużywającego mantry boskiego imienia!

Tak dzieje się na Bliskim Wschodzie, gdzie na naszych oczach, upolityczniony ortodoksyjny judaizm zderza się z upolitycznionym fundamentalizmem krańcowego islamu, który jest antytezą cywilizacji Zachodu, humanizmu, państwa prawa, równości i praw kobiet.

Taliban zburzył tysiącletnie posągi Afganistanu, Al-Kaida morderczo uderzyła w „Twin Towers” w Nowym Jorku, w cywilny pociąg w Hiszpanii, w Underground w Londynie, nie zapominając o morderczych totalitaryzmach Hamasu i Hezbollah.

Świat zachodni wyczerpany okrucieństwami czerwonego i brunatnego „izmu” stoi dziś, niestety, apatycznie w obliczu nowej fali czarnej indokrynacji delegitymizującej wartości godności życia państwa prawa, równości i tolerancji. W imię wymagowanego „Murtibinga” zniewalającego ludzkie umysły.

Pozwólcie, że posłużę się słowami Czesława Miłosza, jego cytatem-mottem do wspaniałego eseju zatytułowanego Zniewolony umysł. Autor przytacza powiedzenie starego Żyda z Podkarpacia:

„O ile jeden ma rzetelnych 55 procent racji – to bardzo dobrze i nie ma się o co szarpać.

O ile ma 60 procent racji – to ślicznie.

Ale taki co mówi, że ma sto procent racji – to paskudny gwałtownik, rabuśnik i największy lajdak”.

Totalitarne, fundamentalistyczne „izmy” gwałcą nas w imię swojej stuprocentowej racji, zniewalając przy tym umysły, a tolerancję uważając za antytezę swojej stuprocentowej absolutnej prawdy.

Niestety, świat zachodni zmęczony izmami drugiej wojny światowej musi dokonać rewizji swoich koncepcji, by obronić swoją jeszcze nie utrwaloną demokrację jakąś nową zbroją – obronną demokracją, która unicestwi nowym „izmami” wykorzystanie systemu wolnej myśli praw ludzkich, by zniweczyć racjonalizm, humanizm i tolerancję.

Dziękuję za obecność i za wyrażenie uznania dla mojej skromnej osoby oraz dla mojego nieznacznego wkładu w obronę wartości humanistycznych i tolerancji.

Apeluję do młodego pokolenia, by nie zrażało się naszymi porażkami i aby zniszczyć tolerancji i walki w obronie demokracji był ich niezłomnym celem.

Życzę im siły woli i siły przebiccia!

Bronisław ŁAGOWSKI

Trzeba rozróżnić dwie postacie nietolerancji: aktywną i potencjalną. Aktywna polega na odmawianiu prawa do istnienia odmiennym poglądom, obyczajom, gustom nie dlatego, że został obiektywnie rozpoznane jako szkodliwe, lecz ze względu na ich właśnie odmiennosc. Wcale nie musi się w nich widzieć egzystencjalnego zagrożenia – gdy takie występuje ludzie ze sobą walczą, a walkę nie obejmujemy pojęciem nietolerancji. To jej skutek. Gdy do niego dojdzie – perswazja, pedagogika, przemawianie do rozumu są bezsilne.

Nietolerancja potencjalna tkwi w przesadnym zadowoleniu ze swojej tożsamości grupowej, religijnej, narodowej, klasowej, ideologicznej czy innej. Zdarza się, że jednostka popada w stan zarozumiałości i pychy z powodu przypisywania samej sobie nadzwyczajnych zalet, ale nie-

bezpieczna społecznie i niemal nagminna jest pycha z powodu uczestnictwa w takiej lub innej kolektywnej jaźni. Nawet najskromniejszą osobiście jednostkę przynależność do wyróżnionego, zwłaszcza wyposażonego w poczucie misji kolektywu, potrafi posadzić na sto koni. Nie tylko w swoim imieniu wówczas odmawia prawa do istnienia nieswoim poglądom czy obyczajom. Występuje z arogancją reprezentanta prawdy powszechnej. Dodatkowo umacnia ją w poczuciu własnej racji to, że reprezentowanie jakiegoś ogółu ma w sobie coś z moralnego idealizmu.

Jak sobie radzić z nietolerancją potencjalną? Trzeba osłabiać owe nacjonalistyczne, religijne czy inne podmiotowości społeczne na rzecz umacniania poczucia indywidualnej odpowiedzialności. Nie w indywidualnych lecz w kolektywnym zarozumiałstwie tkwi największy potencjał nietolerancji.

Andrzej WIELOWIEYSKI

Dziękuję za wyróżnienie mnie Medalem Zasłużonego dla Tolerancji. Cieszę się, że znalazłem się w gronie wyróżnionych, wśród których widzę wielu moich przyjaciół.

Jednakże do problemu tolerancji muszę dodać parę słów komentarza. Pojęcie tolerancji ma niewątpliwie dodatni sens: akceptuję drugiego człowieka. Budziło ono wszakże nie raz zastrzeżenia, obawy, że może oznaczać także godzenie się nie tylko z odmiennością, ale także ze złem lub po prostu zgodę na istnienie innych dla świętego spokoju. Byli tacy, co krytycznie oceniali polską tolerancję w dawnych wiekach, bo obok pozytywów oznaczała ona też słabość wyrażająca brak większego zaangażowania i głębszych motywacji swoich przekonań.

Dlatego powinniśmy mówiąc o tolerancji rozumieć przez to przede wszystkim sprawiedliwość pojmowaną jako szacunek dla każdego człowieka. Szacunek dla godności każdej istoty ludzkiej powinien być bowiem podstawą stosunków społecznych i motywem aktywizującym do walki z dyskryminacjami odmienności.

Życzę nam wszystkim, aby te piękne Medale były skuteczną promocją sprawiedliwości!

Opracowała

Wacława MIELEWCZYK

Daniel ZBYTEK

Czy pożegnanie z multikulturalizmem?

W Unii Europejskiej narastają tendencje wrogie ludziom, którzy różnią się etnicznie i religijnie. Mieliśmy antycygańskie wystąpienia w Czechach i na Słowacji, gdzie pogłębia się izolacja tej społeczności, a na początku października 2010 rząd francuski przeprowadził akcję deportacyjną Romów do Rumunii i Bułgarii. W październiku miał miejsce jeszcze inny znamieny fakt – utworzono nowy rząd w Holandii, który powstał, i istnieje, dzięki wsparciu partii Berta Wildersa,

o jawnie antyislamskiej retoryce. Kolejnym wydarzeniem było wystąpienie kanclerz Republiki Federalnej Niemiec Pani Angeli Merkel (16 października 2010 roku) na spotkaniu organizacji młodzieżowej rządzącej partii CDU. Pani kanclerz stwierdziła, że prowadzona dotychczas polityka „multikulturowości” poniosła klęskę i należy przejść do zdecydowanych działań integracyjnych wobec ludności obcej etnicznie, mimo ich niemieckiego obywatelstwa.

Niemiecka polityka multikulturowości wobec nie – niemieckiej ludności była rezultatem boomu gospodarczego lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdy to szybko się rozwijająca gospodarka potrzebowała setek tysięcy nowych pracowników. Dotkliwe straty wojenne pozbawiły kraj nad Renem milionów mężczyzn w sile wieku, i znalezienie obcych robotników na ich miejsce było koniecznością. Najpierw przyjeżdżali Włosi, Hiszpanie, Portugalczycy – ale oni szybko powrócili do swych macierzystych krajów, które również weszły na etap szybkiego rozwoju ekonomicznego. Kolejnym źródłem siły roboczej okazała się Turcja, która była w stanie wysłać miliony swoich obywateli do pracy w Niemczech. Władze w Bonn zakładały, że oni, podobnie jak obywatele z południa Europy, po kilku latach pracy wrócą do swego macierzystego kraju z nagromadzonymi oszczędnościami, toteż nawet ukuto stosowny termin: „gastarbeiter” – „pracownik gość”. Okazało się jednak, że niewielu Turków powracało, a co gorsza zaczęli do Niemiec ściągać swoje rodziny. Przyjmowali obywatelstwo RFN, ale nie uczestniczyli aktywnie w życiu społecznym kraju zatrudnienia, a wprost przeciwnie, zachowywali swoje zwyczaje, religię, język – utworzyli równoległe społeczeństwo. Wydarzenia po 11 września 2001 roku, gdy nasiliła się globalna walka z terroryzmem, w dużym stopniu powołująca się na swe związki z islamem, wykazały, że niemieccy Turcy bardziej się identyfikują ze swoimi muzułmańskimi pobratymcami, niż z rdzennymi Niemcami. Ten rozdział społeczności był bardzo głęboki – nie chodzono razem na piwo, nie kibicowano tym samym drużynom piłkarskim, odmiennie się ubierano, czytano inne gazety.

Początek nowego tysiąclecia przyniósł kolejny cios wielokulturowości. Pogarszająca się sytuacja gospodarcza i zmiany w strukturze produkcji znacznie zmniejszyły zapotrzebowanie na siłę roboczą. Turcy, którzy opanowali rynek pracy w wielkich zakładach: stalowniach, hutach, olbrzymich zakładach mechanicznych okazali się niepotrzebni. Zwiększyła się z kolei presja na każde dostępne miejsce pracy. Turcy mieli mniejsze wymagania płacowe, toteż eliminowali rdzennych obywateli RFN z wyścigu o zatrudnienie. Niemcy poczuli się zagrożeni we swoim własnym państwie.

Kolejny przyczynek, który spowodował zmianę nastrojów wśród Niemców był fakt zmian pokoleniowych. Odchodziło pokolenie, które pamiętało czasy powojenne, gdy to Niemcy byli napiętnowani winą za wywołanie Drugiej Wojny Światowej i miliony jej ofiar. Młode pokolenie nie ma tego stygmatu, wprost przeciwnie, uważa że to dawno minioną historią, a zbrodnie wobec ludności popełniali wszyscy – np. alianci bombardując Hamburg i Drezno lub Polacy wprowadzający antyniemiecką czystkę na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Ta postawa stworzyła nową sytuację polityczną, w której zaczął się coraz bardziej liczyć niemiecki nacjonalizm. Turcy przestali być traktowani tylko jako robotnicy, stali się obcymi na niemieckiej ziemi.

Podobna sytuacja ma miejsce w Holandii i Francji – oczywiście w obu tych krajach nie było nigdy poczucia winy za wywołanie wojny, raczej świadomość, że ją niechlubnie przegrano, ale problem odmienności etnicznej muzułmanów ma jeszcze bardziej drastyczny charakter.

We Francji obecnie rodzi się więcej dzieci w rodzinach wyznających islam, niż we wszystkich pozostałych. Wyznawcy Allacha różnią się kolorem skóry – to w większości potomkowie Arabów z Algierii. Ich dziadowie i ojcowie byli na służbie francuskich kolonizatorów i z obawy zemsty ze strony swoich rodaków uciekli na drugą stronę Morza Śródziemnego. Kolejne setki tysięcy przybyło w kolejnych latach poszukując pracy. Oni też dystansowali się do miejscowych Francuzów, nie akceptując tradycyjnych wartości bliskich sercu każdego Francuza – sekularyzacji, tolerancji zachowań, liberalnych obyczajów. Trwali w swoich licznych, tradycyjnych rodzinach, ze ściśle przestrzeganą patriarchalną hierarchią. Słynne jest wystąpienie piłkarskiego bohatera Francji, Zidana Zidan, który w meczu Francja – Algieria, gorąco kibicował ojczyźnie swego dziadka, a nie krajowi, w którym się wychował i którego język, jako jedyne, znał. Zamieszki wybuchające, co jakiś czas na przedmieściach dużych francuskich miast wywoływane są w większości przez młodzież muzułmańską – z jednej strony, bo jest liczna, a z drugiej strony, że wśród niej jest największe bezrobocie, najwyższy wskaźnik przestępczości, najwyższa liczba tych, którzy porzucają szkoły. Atakowali oni

to, co uważali za symbole państwa – policję, budynki administracji publicznej, sądy, szkoły, domy kultury – nawet szpitale.

Europa stanęła w obliczu zagrożenia, które powoduje powstanie dwóch równoległych społeczności na tym samym terytorium, wyznających odmienne wartości kulturowe. Obecna sytuacja jest konsekwencją decyzji podejmowanych w pierwszych latach po Drugiej Wojnie światowej. Europa stała się celem masowej emigracji ludzi z krajów azjatyckich i afrykańskich – najczęściej z byłych kolonii do metropolii, ale także z innych regionów.

To masowe zjawisko spowodowało wykształcenie się w oficjalnej polityce społecznej wobec przybyszów modelu wielokulturowości. Decydujący był wpływ dziedzictwa Oświecenia, które wytworzyło szacunek dla innych idei. Z kolei tradycja kulturowego relatywizmu, która została sformułowana w pierwszej połowie XX wieku przez Franza Boasa („*Race, Language and Culture*” 1940) przyniosła intelektualne uzasadnienie wielokulturowości, zgodnie z którym zachowania jednostek ludzkich ukształtowane są przez kulturę, w której żyje dana jednostka. Boes’owskie pojęcie kultury jako zespołu intelektualnych i fizycznych działań poszczególnych jednostek ludzkich w relacji do ich środowiska naturalnego, społeczeństwa, a także samooceny swojego miejsca w świecie, doprowadzona została w drugiej połowie XX wieku i początkach XXI do daleko idącego uproszczenia: przyjęto, iż każdy muzułmanin, hinduista, czy emigrant z jakiegokolwiek innego kręgu kulturowego wyznaje te same podstawowe, humanistyczne wartości, różni się od osiadłych Europejczyków tylko tym, że inaczej chodzi ubrany, ma inną, często ciekawą kuchnię, chodzi do innej świątyni. To prawda, że, werbalnie, wszyscy ludzie na naszej Ziemi podzielają te same wartości – szacunek dla innego życia, pokój, chęć zapewnienia swoim dzieciom utrzymania i wykształcenia. Inaczej jednak przedstawiciele różnych kultur realizują te dążenia, inną mają hierarchię ważności i gdzie indziej upatrują istotnych zagrożeń dla jednostki i zbiorowości. Wielokulturowość, tak jak ją rozumiano w Europie, była także pochodną w dużym stopniu teorii uzależnienia, która przyjmowała za oczywiste, iż za obecny zastój gospodarczy wielu krajów Azji i Afryki

odpowiadają byle kolonialne metropolie, które narzuciły swój system administracyjny, i swoich ludzi, pozbawiając miejscowych udziału w aparacie władzy.

Uznano również, iż amerykańska polityka w Japonii po drugiej wojnie światowej, w dużym stopniu swój sukces zawdzięcza przyjętym zasadom współpracy z miejscową ludnością. Polityka Stanów Zjednoczonych wobec okupowanej Japonii została w dużym stopniu ukształtowana przez uczennicę Boesa, Ruth Benedict. Jej *Wzorce kultury* stanowiły intelektualny przewodnik, który umożliwił amerykańskiemu władzom okupacyjnym zrozumienie np. miejsca cesarza w japońskim społeczeństwie i wykorzystanie tej wiedzy do wprowadzenia takich instrumentów okupacyjnej polityki społecznej, które nie alienowały zastanych tradycyjnych wzorców, ale wprost przeciwnie, wspierały demokratyzację ustroju politycznego. Relatywizm kulturowy uczył szacunku dla innej kultury i umożliwił wytworzenie symbiozy, w której japońskie społeczeństwo mogło zasymilować zasady demokratyczne.

Japoński sukces stworzenia demokratycznego państwa na gruzach krwawego imperium, nie oznacza, że jest to zawsze i wszędzie możliwe. Ludzie Zachodu uznali za pewnik, że zawsze i wszędzie demokracja uznana zostanie za ustrój najlepszy z możliwych, za system osiągania consensusu w sprawach społecznych. Nie uwzględniono faktu, że społeczeństwo japońskie funkcjonowało od kilkudziesięciu lat w warunkach sprzyjających ustanowieniu instytucji demokratycznych – przede wszystkim było to nowoczesne industrialne społeczeństwo opierające się na osiągnięciach nauki i techniki – czego nie można powiedzieć o większości narodów Azji i Afryki.

Europejski, popularnie obowiązujący uproszczony dogmat, iż kultura to tylko zespół kolorowych zachowań, nie bierze pod uwagę istoty kultury jako przede wszystkim zespołu idei, obejmujących tradycje, religię i utworzony na ich podstawie obraz otaczającego człowieka świata – natury, innych ludzi i ich wzajemnych relacji, przeznaczenia, bytu, sensu istnienia. **Kultura Zachodu, to przede wszystkim kultura jednostki ludzkiej. Zbiorowość, wśród której funkcjonujemy, ma znaczenie wtórne, tworzy ramy, dzięki którym możemy funkcjonować wśród innych ludzi.**

Kultura określa wizję świata. Dla hinduisty, świat ma charakter ciągłości zmian, przechodzenia z jednego bytu w inny, ciągle dążenie do przeznaczenia, *mokry*. Kierunki tej drogi wyznacza *dharma*, czyli reguły postępowania jednostki w danym miejscu i czasie, ta z kolei podporządkowana jest *karmie*, czyli przeznaczeniu jednostki. Te trzy elementy stanowią fundament myślenia większości Hindusów. Oczywiście istnieją rozliczne religijne szkoły intelektualnej interpretacji związków i uzależnień poszczególnych elementów, natomiast przeciętny Hinduś nie wnika w szczegóły – jego postawa, ocena istoty świata określa odziedziczona tradycja i uznane powszechnie wzorce zachowań. Ten sposób myślenia, oceny zdarzeń społecznych zupełnie odbiega od myślenia przeciętnego Europejczyka czy Amerykanina. **Indyjska tolerancja dla innych wynika z szacunku dla każdego życia, a nie z poszanowania jednostki ludzkiej. To wbrew zewnętrznym pozorom, całkowicie odmienna wizja świata.**

Określenia instytucji społecznych, mimo ich leksykalnej globalnej identyczności, w rzeczywistości w różnych warunkach społecznych mają inne znaczenie.

W Indiach funkcjonuje demokratyczne państwo, ale jako system uzgadniania udziału we władzy różnych grup ludności – kast. Jednostka ludzka, klasa, grupa ekonomicznych interesów ma w tym wymiarze znaczenie drugorzędne. Przede wszystkim jest się Braminem, Dalitem czy Yadawem. Globalizacja, wpływy Zachodu wcale nie zniosły odwiecznych podziałów – wprost przeciwnie, jeszcze bardziej je nasiliły, gdyż narasta międzygrupowa konkurencja, co jest widoczne we wzroście politycznego znaczenia partii kastowych, jak np. BSP czy SP na północy Indii czy DMK na południu, kosztem wpływów partii ogólnindyjskich jak Kongres czy Partia Ludowa BJP.

Demokracja w wydaniu kastowym jest bardzo niestabilna – problemy ogólnospołeczne mają w niej znaczenie drugorzędne, podporządkowane realizacji doraźnych celów kastowych.

Podobnie jak w Indiach, gdzie demokracja ma odmienną treść, choć podobną formę do systemów zachodnich, zachowują się społeczeństwa w innych krajach świata, najczęściej

dalekie od nawet tak odmiennych form demokracji, jak indyjska. W sytuacji zagrożenia nie następuje konsolidacja całego społeczeństwa, ale jego fragmentacja. Przykładem jest Somalia – państwo, czy raczej wspólnota ponadplemienna, które trwało w stanie stabilizacji do momentu, gdy zewnętrzna władza była w rękach kolonizatorów: Włochów, Francuzów, Anglików. Europejczycy funkcjonowali jako obcy, nie naruszający istoty relacji społecznych miejscowej ludności, byli źródłem dochodów i regulacji administracyjnych. Władze kolonialne w rozumieniu ich roli w danym społeczeństwie były dawcami dóbr zewnętrznych – zarówno w postaci pożądanego dóbr jak maszyny, leki, wyroby konsumpcyjne, a także usług – organizacja budowy dróg, linii kolejowych, zakładów przetwórczych. Nawet pozyskiwanie niewolników, uważane za jedno z cięższych przestępstw „białego człowieka” w Afryce było rezultatem transakcji handlowych z miejscowymi, afrykańskimi władcami, którzy w celu pozyskania odpowiedniego „towaru” organizowali najazdy na sąsiednie plemiona lub częstokroć, sprzedawali swoich własnych poddanych.

W momencie odejścia kolonizatorów wytworzyła się istotna pusta przestrzeń społeczna, o którą rozpoczęła się walka o władzę nadrzędną nad całym państwem, rozumianym jako dawca przywilejów, różnych grup społecznych – w Somalii są to klany. **Przynależność klanowa jest istotniejsza niż narodowa czy religijna.** Naród, to twór, jaki powstał w Europie w rezultacie rozwoju kapitalizmu, społeczna instytucja nadrzędna nad rodziną, klanem, klasą, jako narzędzie mobilizacji w starciu z innymi grupami interesów. W Polsce, która aż do drugiej połowy XIX wieku była przede wszystkim państwem feudalnym, chłopci nie utożsamiali się z innymi klasami, nie uważali się za Polaków – byli chłopami, katolikami – Polacy to dla nich szlachta, traktowana z dużą rezerwą lub wręcz wrogo. Polscy chłopci i szlachta ulegli procesowi symbiozy – powstał jednolity naród polski, wyznający wspólnie ukształtowane tradycje i wzorce zachowań.

W przypadku Turków w Niemczech, Algierczyków we Francji, Indonezyjczyków w Holandii czy Pakistańczyków we Wielkiej Brytanii do symbiozy nie doszło. Społeczności imigrantów zachowały swoją odrębność,

pozostając w związku z krajami rodzinnymi, mimo że są to ludzie często mieszkający w Europie w trzecim i czwartym pokoleniu i nie znają już języka przodków, ale uznają wartości kulturowe swych dawnych ojczyzn na jedyne ważne. Istotnym czynnikiem jest religia – islam, który pod naciskiem procesów globalizacyjnych uległ radykalizacji i równocześnie

uproszczeniu. **Powstała nowa ideologia – islamizm, która przejęła zewnętrzne symbole muzułmańskie, ale stała się ideologią protestu – protestu przeciwko niedostosowaniu, obcości wśród starych społeczeństw Europy, nieumiejętności dostosowania się do racjonalnych i konkurencyjnych mieszkańców Wspólnoty Europejskiej.**

Autor jest ekonomistą, lecz potem jego zainteresowań są współczesne problemy międzynarodowe. Wyrazem tych zainteresowań jest jego najnowsza książka, *Azja Południowa. Tygiel islamu i globalizacji*. Jest członkiem zespołu naszej redakcji.

List z Jerozolimy

Uri Huppert

Izrael: u progu dramatycznej decyzji

W połowie grudnia obywatele Izraela, jak również Żydzi wszelkich denominacji żyjący w diasporze, święcili święto Hanukkah, czyli święto światła.

Tym terminem, jak również spektakularnym obrazem światła, święto to przypomina chrześcijańskie Boże Narodzenie: choinka pełna błyszczących świecidełek porównywana jest do oświetlonego siedmioramiennego świecznika (menory, która – jak pamiętamy – uwieczniona została w rzeźbie na kolumnie Tytusa w Rzymie, jako łup zburzonej jerozolimskiej świątyni w 73 roku nowej ery).

Ten świecznik jest dziś herbem Państwa Izraela.

Święto to ma również swe współczesne i bardzo aktualne, a nawet polityczne, aspekty. Według wersji Talmudu Babilońskiego, hellenistyczny okrutny król Antiochus nakazał zamknąć jerozolimską świątynię Salomona. Nakazał wyrzucić siedmioramienny świecznik i zastąpić go bałwochwalczymi posągami. Tradycja opowiada o starym Mateuszu (Mateياهو), który wraz z pięcioma synami zorganizował wielkie powstanie zwane zrywem Bar Kochba, czyli powstaniem Machabeuszy, któ-

rzy w imię swej wiary bohatersko powrócili do opustoszałej wielkiej świątyni w Jerozolimie, przewyciężając bezbożników.

Niestety w opustoszałej świątyni panowały ciemności. Machabeusze znaleźli jedynie jeden skromny dzban oliwy, który o dziwo wystarczył na pełne osiem dni wznowienia zniczu w świątyni. Cud ten nazwano świętem świateł. Profesor Kehoshat Harkabi (generał w stanie spoczynku), jako błyskotliwy strateg i historyk, przedstawił swoją tezę na temat tego cudu połączonego z tragicznym powstaniem Machabeuszy.*

Religia przeobraziła te wydarzenia w święto.

Ruch narodowy (syjonizm) nadał powstaniu Machabeuszy zabarwienie bohaterskiego zrywu narodowego, tak przedstawiają go też historycy.

Prof. Harkabi „odbrząził” to powstanie, przedstawiając krytyczną tezę oskarżającą Machabeuszy o samobójczą i zbyteczną wojnę religijną.

Harkabi twierdzi, że brak elastyczności Machabeuszy w swej religijnej „ortodoksyjnej” wersji, nie tylko doprowadził do wyczer-

pującej wojny, którą Machabeusze przegrali, lecz był tragicznym i zbyt szerszym wstępem do traumatycznej „Drugiej Judejskiej Wojny” przeciw Rzymianom. 65 lat później, w 135 roku naszej ery pod przywództwem Bar Kochby (Bar Kosiby), w której Judejczycy doznali historycznej, zbyt szerszej i niepowetowanej porażki. Judejczycy stracili swój byt w swej ojczyźnie na prawie dwa tysiące lat. Była to bezprecedensowa tragedia narodu, którego przywódcy według tezy prof. Harkabi byli zaślepieni religijnie i pełni zacietrzewienia.

Współczesne problemy wokół rozwiązania konfliktu z Palestyńczykami niestety tworzą podobieństwo z historycznymi wydarzeniami owych czasów.

Państwo Izraela w trakcie wojny o niepodległość w 1948 roku zostało zbudowane od podstaw jako świecka narodowa inicjatywa syjonizmu, czyli demokratycznego ruchu politycznego od końca XIX wieku, aż po Deklarację Niepodległości, opartą na Magna Carta Libertatis, na Rewolucji Francuskiej i na Konstytucji Amerykańskiej.

Erozja wartości zawartych w Deklaracji Niepodległości, przeobrażenie państwa w państwo wyznaniowe, wzrastające wpływy koncepcji narodowo-religijnych, zdominowanie instytucji państwowych przez elementy mesjanizmu religijnego, dyktat tych elemen-

tów na decyzje militarne, na decyzje w sprawach granic państwa (osadnictwo religijne na okupowanych terenach palestyńskich, zdobytych w wyniku wojny sześciodniowej z roku 1967, nacisk kół mesjanistycznych w trakcie rozmów pokojowych z Palestyńczykami (mord polityczny dokonany w roku 1995 na premierze Icchaku Rabinie, rządy prawicowe „Bibi” Benjamina Nethaniahu) zastraszająco przypominają tragiczne konflikty „Drugiej Wojny Judejskiej” zakończonej triumfem Tytusa i zburzeniem Drugiej Świątyni Salomona w wyniku fanatyzmu i ślepego zacietrzewienia.

Nieobliczalna gorliwość religijna wplątała Judejczyków w konflikt z Hellenizmem, a ostatecznie z ówczesnie wszechmocnym imperium rzymskim.

Na progu roku 2011 Izrael, 62-letni kontynuator Hebrajczyków, stoi przed dramatyczną decyzją: zachować wsparcie współczesnego imperium światowego i dojść do historycznego kompromisu ze światem sunnickich Arabów i z palestyńskim ruchem narodowym (reprezentowanym przez przywództwo Autonomii Palestyńskiej), czy w imię religijnego mesjanizmu kurczowo trzymać się koncepcji biblijnych granic i doprowadzić do tragicznej konfrontacji z całym Zachodem, świadomie zakładając, że historia się nie powtórzy.

* Kehoshat Harkabi, *Vision or Fantasy: Realism in International Relations*, wyd.: Domino Press, Tel Aviv: 1982. Praca opiera się na nowatorskiej tezie odrzucenia fantazji i wsparcia się na wizji opartej na realizmie politycznym na przykładzie rewolty Bar Kochby i jej tragicznych konsekwencji.



Rys. Marek Chaczyk

SPRAWY WSPÓŁCZESNEGO KOŚCIOŁA

O. Ludwik M. WIŚNIEWSKI

List do nuncjusza Apostolskiego w Polsce abp Clestino Migliore

„Czcigodny Księżu Arcybiskupie,

Ośmielam się przesłać Księdzu Arcybiskupowi na początku jego służby Kościołowi polskiemu w charakterze Nuncjusza Apostolskiego kilka uwag wynikających z niepokoju o losy Kościoła w Polsce. Tak nakazuje mi sumienie.

Jestem już starym kapłanem i zakonnikiem i byłem świadkiem wielu ważnych dla Kościoła i Narodu wydarzeń.

Od kilkunastu lat, a konkretnie od upadku rządów komunistycznych, znawcy i badacze zjawisk społecznych, głównie z Europy Zachodniej, prognozowali szybkie złaicyzowanie społeczeństwa polskiego i upadek Kościoła, czego znakiem miało być opustoszenie kościołów z wiernych. Nic takiego nie stało się.

Ale oto teraz znaleźliśmy się w momencie – taka jest moja ocena, obym okazał się fałszywym prorokiem – kiedy te prognozy mogą zrealizować się, i to w niedalekiej przyszłości. Widmo hiszpańskiego Kościoła przybliżyło się.

Siła polskiego Kościoła wypływała w dużej mierze (choć nie wyłącznie) stąd, że przez całe lata istniał w naszym Kościele wyraźny, czytelny „zwornik” i wyraźna „twarz” Kościoła. Takim „zwornikiem” od 1948 roku aż do roku 1981 był Prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński. Był on dla Polaków w trudnych czasach komunizmu „drugim papieżem”. Jego zdanie i jego stanowisko nie były zasadniczo kwestionowane, choć w sprawach drugorzędnych pojawiały się głosy krytyczne. On porządkował trudne sprawy, których w tamtych czasach było bardzo wiele. On był autorem tego, co określaliśmy jako „modus vivendi” z panującym w Polsce komunizmem, który uprawiał „państwowy” ateizm i dążył do zniszczenia Kościoła.

Kardynał Wyszyński dał także Kościołowi „twarz”. To było coś bardzo ważnego. Wiadomo było, co Kościół głosi nie tylko w zakresie wiary, ale także w zakresie spraw społecznych, a nawet politycznych. Wiadomo było także, że Kościół zawsze stanie po stronie skrzywdzonych i poniżonych.

Ta wyrazista „twarz Kościoła” pozwoliła wielu ludziom, dotąd krytycznie patrzącym na Kościół, zbliżyć się i współpracować z ludźmi Kościoła.

Przyszł moment, kiedy zabrakło Księdza Prymasa Wyszyńskiego. Ale wtedy był już papieżem Jan Paweł II. I znowu mieliśmy „zwornik”, a polski Kościół miał „twarz”. Papież nie kierował bezpośrednio naszym polskim Kościołem, ale wszyscy wiedzieli, że „stoi na straży” i jeśli trzeba będzie, to wkroczy, zainterweniuje.

Bywało, że słowa i stanowisko Papieża różnie interpretowano, jak np. w sprawie przynależności Polski do Unii Europejskiej, ale z tym dało się jeszcze żyć.

Pięć lat temu zabrakło Jana Pawła II. Jeszcze za Jego życia, po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, zaczęło się w naszym Kościele dziać coś niepokojącego. Spróbuję te niepokojące sprawy przedstawić.

I. Zapanował swoisty triumfalizm

To prawda, z komunizmu Kościół polski wyszedł silny. Z biegiem jednak lat pojawiły się zjawiska, które powinny napelnić nas troską, a może nawet wstydem. I zabrakło nam refleksji. **My, ludzie Kościoła, a zwłaszcza duchowni, uważaliśmy, że jesteśmy ciągle wspaniali, zwycięscy i że należą się nam okłaski, a nawet przywileje.** Nieżyjący już ks. Józef Tischner próbował księży i biskupów sprowadzić na ziemię. Okrzyknięto go liberałem i odtąd słowo „liberał” stało się przekleństwem i synonimem „lewaka”, który tak naprawdę działa na szkodę Kościoła, nawet wtedy, kiedy jest gorliwym księdzem.

II. Nastąpił gorszący podział w polskim Episkopacie

Nie znam sprawy od wewnątrz. Nie mam wglądu w prace odbywające się podczas Konferencji polskiego Episkopatu. **Patrę na Episkopat od zewnątrz, a od tej strony podział jest naprawdę gorszący.**

I nie chodzi wcale o to, że biskupi mają różne przekonania społeczne i polityczne. To nawet dobrze, bo to zdejmuje z biskupów maskę sztuczności.

Ten gorszący podział objawia się poprzez popieranie inicjatyw i dzieł formalnie katolickich, a w rzeczywistości pogańskich, bo jątrzących i dzielących społeczeństwo i Kościół. Aby nie być gołosłownym, dam przykład; oto część biskupów pozwala drukować swoje wypowiedzi, a nawet pisze i drukuje swoje artykuły w dzienniku („Nasz Dziennik”), w którym roi się od oszczerstw. Ten dziennik inni biskupi uważają za głęboko antychrześcijański! Czyż to nie jest gorszący podział? Trudno nie wspomnieć także o dramacie mającym miejsce w ostatnich tygodniach, a związanym z krzyżem przed pałacem prezydenckim. Tak naprawdę to nie jest to obrona krzyża (choć pewnie niektórzy tak sądzą), ale walka z Prezydentem i Rządem oraz podkopywanie ich prestiżu. Nie jest to także upominanie się o godne uczczenie ofiar katastrofy smoleńskiej, czego rzekomo nie chcą uczynić ludzie aktualnie kierujący Krajem, bowiem Prezydent i Rząd kilkakrotnie deklarowali wolę godnego uczczenia tych ofiar. **To jest godne pożałowania polityczne awanturnictwo!**

Niestety, część biskupów „dolewa oliwy do ognia”, popierając ten nieracjonalny protest. **Czyżby nie wiedzieli, co czynią i jak bardzo przyczyniają się do rozbijania Kościoła?**

III. Rozbicie w Episkopacie przekłada się na rozbicie duchowieństwa

Polska ma ogromny zastęp młodych i ofiarnych księży. **Jednakże według moich ocen ponad 50 proc. duchowieństwa a jest „zarażone” ksenofobią, nacjonalizmem i wstydliwie skrywanym antysemityzmem.** Bardzo wielu księży zatraciło granicę między Ewangelią a polityką. Oczywiście, księża mają prawo mieć poglądy na tematy społeczno-polityczne, i to nie jest jeszcze źle. Źłe jest, kiedy podczas liturgii – która *par excellence* jest wielbieniem Boga w miłości – potrafią w niewybrednych słowach potępiać albo popierać partie polityczne i konkretnych polityków. To nie jest wcale rzadkie. Czynią to w rzekomej obronie Kościoła i Narodu – za przykładem sporej części biskupów. Z dnia na dzień coraz bardziej tracimy to, co nazywa się *sensus catholicus*. Nie ma, niestety, w Polsce badań dotyczących treści wygłaszanych przez księży homilii i kazań.

W moim przekonaniu dzieje się tutaj bardzo źle. Zdaję sobie sprawę, jak wielkie formułuję oskarżenie pod adresem polskiego duchowieństwa, i bardzo chciałbym mylić się.

IV. Rozbicie dosięgło XV. także cały polski Kościół

Myślę nie tylko o duchownych, ale także o świeckich katolikach. Niektórzy lekceważą to rozbicie, twierdząc, że grupy fundamentalistyczne (nazwa chyba nie jest adekwatna, ale nie mam innej) to jest margines Kościoła.

Jestem zdania, że tych grup nie wolno lekcewać. Są najbardziej krzykliwe i dla młodego pokolenia stają się coraz bardziej „twarzą” Kościoła. Te grupy same o sobie buńczucznie twierdzą, że tylko one są wiernie Chrystusowi i Kościołowi. Ta „wykrzywiona twarz” coraz większe rzesze młodych odpycha od Kościoła – w liturgii bierze udział coraz mniej młodych Polaków.

Krzykliwe, ksenofobiczne grupy, mające często cechy sekciarskie – a myślę tu m.in. o entuzjastach Radia Maryja, o obrońcach krzyża przed pałacem prezydenckim, o ludziach węszących wszędzie zło – wnoszą w nasze życie ogromny chaos i powodują spustoszenie moralne w wielu ludziach. Aż dziw bierze, że biskupi zdają się tego nie widzieć. Może szkoda, że tak rzadko zasiadają w konfesjonalach – tam widać owo spustoszenie i widać jasno, skąd ono płynie.

V. Rozbity polski Episkopat nie potrafił rozwiązać żadnego trudnego problemu, który w naszym Kościele zaistniał

Nie rozwiązano należycie problemu związanego z arcybiskupem Paetzem i w najbardziej uroczyстых momentach twarz jego jest eksponowana w telewizji, ku zgorszeniu wiernych. Nie rozwiązano problemu tzw. „lustracji” kapłanów i biskupów. Do dziś gorszy historia związana z arcybiskupem Wielgusem, której należyte nie wyjaśniono. Nie wyjaśniono również wpisania na listę „tajnych współpracowników” sporej części biskupów. **W moim przekonaniu nie można nikogo z nich oskarżyć o rzeczywistą współpracę z komunizmem, można co najwyżej zarzucić im naiwność.** Jednak w opinii wiernych Kościoła sprawę „zamieciono pod dywan” i nie wyjaśniono jej z otwartą przyłbicą: tak, tak – nie, nie. **Episkopat Polski nie rozwiązał także problemu Radia Maryja, który to problem jest coraz trudniejszy do rozwiązania. To radio jest miejscem, gdzie ludzie uczą się modlić (i chwała mu za to!), a zarazem jest miejscem – o paradoksie – gdzie ludzie uczą się fanatyzmu i niechęci, a nawet nienawiści do inaczej myślących. Jest to miejsce, w którym miesza się wiarę z pseudopolityką! Biskupi nie potrafili tego problemu rozwiązać.** Kilkakrotnie pojawiały się oświadczenia, że biskupi są bezradni, bo radio i całe Dzieło z tym radiem związane należy do Zakonu Redemptorystów. W moim przekonaniu jest to ucieczka od problemu jest to wymówka. Zakony cieszą się egzempcją w sprawach życia zakonnego. Natomiast duszpasterstwo prowadzone przez Zakony w pełni podlega biskupom – inaczej mielibyśmy w Kościele anarchię. Radio Maryja, które codziennie określa siebie jako „katolicki głos w twoim domu”, powinno być traktowane jako kościelna „ambona”, miejsce, gdzie prowadzi się intensywne duszpasterstwo. **Ta „ambona” znajduje się w Toruniu i w pełni podlega Pasterzowi Toruńskiemu, który już dawno powinien sprawy uporządkować.** To nie Prowincjał ani Generał Redemptorystów, ale biskup toruński jest odpowiedzialny za duszpasterstwo na terenie swojej diecezji i do niego należy czuwanie, aby ten „katolicki głos w twoim domu” był rzeczywiście katolicki.

VI. Dzisiejsza Polska jest zdecydowanie inna niż Polska z roku 1990,

kiedy Nuncjuszem Apostolskim zostawał ksiądz Arcybiskup Józef Kowalczyk Polska jest obecnie demokratyczna, a społeczeństwo coraz bardziej pluralistyczne. Pluralizm (od społecznego do aksjologicznego) bywa przez jednych uważany za nieszczęście, ale przez innych za rozwojową szansę. Ale tylko wtedy pluralizm jest szansą, kiedy istnieje komunikacja między ludźmi wyznającymi różne poglądy i ceniącymi różne wartości.

Wydaje się, że „piętą Achilleśa” naszego polskiego Kościoła, w tym biskupów i kleru, jest nieumiejętność komunikowania się ze zmieniającym się światem.

Jestem starym zakonnikiem, który nie czeka ani na pochwały, ani na godności, więc decyduję się powiedzieć zuchwale: **nominacje biskupie w ostatnim dwudziestolecu dość często wzbudzały zdziwienie**. Biskupami zostawali kapłani wykształceni i prawdopodobnie święci, ale bardzo często nieumiejący skomunikować się z wiernymi. Czasem całe lata przebywali poza Polską i często nic wspólnego nie mieli z jakimkolwiek duszpasterstwem. Ktoś ostatnio powiedział mi: oni przemawiają, jakby byli z innego świata, a nie „spośród nas wzięci”.

Słucham czasem biskupich przemówień do młodzieży przystępującej do bierzmowania, słucham przemówień do wiernych z różnych okazji – wiele z nich jest „ponad głowami”, nie dociera do rzeczywistych ludzkich problemów. **I być może przydałoby się w tych przemówieniach trochę więcej skromności i pokory**. Mówię zuchwale.

Naturalnie, to nie dotyczy wszystkich biskupów. Są w polskim Episkopacie Pasterze, którzy czują rytm ludzkiego życia i których głosu wysłuchują ludzie z wielką uwagą.

Zdaje się, że biskupi nie korzystają z rady ekspertów, kiedy zamierzają zabierać głos na tematy społeczne, gospodarcze i polityczne. Swoje przekonania wypowiadają najczęściej ze swadą i wielką pewnością, ale w opinii profesjonalistów bywają one często niekompetentne.

VII. Polska od kilku lat przeżywa prawdziwą rewolucję społeczną i obyczajową

Ta rewolucja dotyka przede wszystkim młodego pokolenia.

Może warto wyakcentować przynajmniej dwa momenty. Młodzi Polacy bardzo szybko usamodzielniają się, opuszczają rodzinne domy, wyjeżdżają za granicę. Tego nie było jeszcze 15 lat temu. To zjawisko ma nie tylko wymiar pozytywny, ale także negatywny. Młodzi, jeszcze niedojrzali ludzie tracą oparcie w swoich rodzinach i trafiają „w pustkę”.

Przetacza się także przez nasz kraj rewolucja obyczajowa. Upowszechniają się „małżeństwa na próbę”, znoszone są wszelkie bariery dotyczące spraw seksu.

Jest pytanie, jak w tej sytuacji ma się zachowywać Kościół. Łagodzić twarde zasady moralne? Oczywiście nie. Jednakże ludzie Kościoła mają obowiązek zastanowić się nad językiem, którym przemawiają i prezentują zasady moralne. Zdaje się, że my, polscy duchowni, jesteśmy ciągle na etapie „słoganu religijnego”. Zdaje się, że najczęściej wygłaszamy oklepane „święte frazesy”, których nie są w stanie słuchać młodzi i uciekają z Kościoła. Nasza mowa jest zazwyczaj negatywna. Piętnujemy „zgniliznę” przychodzącą oczywiście z Zachodu, ujawniamy „sprzysiężone siły” chcące zniszczyć chrześcijaństwo – ale nie potrafimy przemawiać z miłością do zagubionego człowieka. Polski Kościół czeka wielka praca nad językiem, którym przemawiamy do wiernych.

Jeszcze raz powtórzę, obym okazał się fałszywym prorokiem: nie jest dobrze z polskim Kościołem. Jest duży, kolorowy, imponujący – ale tak naprawdę jest sztucznie nadmucha-ny jak balon. Boję się, że nie doceniamy zagrożeń.

Czego polskiemu Kościołowi potrzeba? Niektórzy mówią; wielkiego przywódcy.

Myślę, że niekoniecznie potrzebny jest dzisiaj wielki przywódca. Tacy „giganci” jak kardynał Wyszyński czy Jan Paweł II są potrzebni na okresy szczególne. A teraz mamy czas zwyczajny. Czas zwyczajnej pracy.

Kościółowi polskiemu potrzebna jest „twarz”. Twarzą polskiego Kościoła coraz bardziej są krzykacze uważający siebie za „prawdziwych Polaków i prawdziwych katolików”. To jest „twarz” wykrzywiona. Dlatego młode pokolenie coraz bardziej od takiego Kościoła ucieka.

Co więc proponuję?

Proponuję WIELKIE DEBATY na najbardziej pałace problemy – z nadzieją, że może one zaczną przywracać prawdziwą „twarz” Kościołowi...

Adresuję swoje pismo do Nuncjusza. Ale nie zwracam się z propozycją organizowania takich debat do Nuncjusza Apostolskiego, bo oczywiście nie jest to jego rola. Wystarczyłoby, aby Wasza

Ekscelencja taką inicjatywę poparł. Nie ludzę się, że tym wielkim debatom może patronować Episkopat i że da się wypracować stanowisko, z którym zgodzą się wszyscy biskupi. Episkopat jest chyba zbyt rozbity.

Ale być może mógłby takim debatom patronować któryś z najbardziej liczących się w Polsce biskupów. Myślę o Prymasie Polski Arcybiskupie Józefie Kowalczyku, o Przewodniczącym Konferencji Episkopatu Arcybiskupie Józefie Michaliku, o Biskupie Warszawy Arcybiskupie Kazimierzu Nyczu i o Biskupie Krakowa kardynale Stanisławie Dziwiszu. Dlatego odpis mojego listu przedkładałam wyżej wymienionym biskupom oraz biskupowi lubelskiemu, na którego terenie mieszkam i staram się pracować.

Z wielkim szacunkiem

O. LUDWIK M. WIŚNIEWSKI OP”

O. Ludwik Wiśniewski – ur. w 1936 r. – znany kapłan „Solidarności”, dominikanin, działał jako duszpasterz akademicki w latach 1962–72 w Gdańsku, a następnie do 1981 r. w Lublinie. Później pracował we Wrocławiu i w Krakowie. W PRL-u zachęcał studentów do walki „bez przemocy”. Większość jego ówczesnych wychowanków utworzyła Ruch Młodej Polski. Był sygnatariuszem pierwszej deklaracji Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. W latach 1990–96 był duszpasterzem w Petersburgu. Mieszka w Lublinie. W 2006 r. odznaczony został przez prezydenta Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Portret papieża Benedykta XVI

Julian BARTOSZ

„Duchowy mocarz”

Zaczynam od cytatu dotyczącego źródeł Zła, przyczyn totalitaryzmów XX wieku: „Przed ponad dwustu laty zrodziło się tak zwane europejskie oświecenie – w szczególności oświecenie francuskie, nie wykluczając jednak angielskiego, niemieckiego, hiszpańskiego czy włoskiego (...) Żeby lepiej naświetlić ten problem, trzeba wrócić jeszcze do okresu przed oświeceniem, a przede wszystkim do tej rewolucji, jakie w myśleniu filozoficznym dokonał Kartezjusz. *Cogito ergo sum* – „myślę więc jestem”, przyniosło odwrócenie w porządku filozofowania. (...) Od Kartezjusza filozofia stała się nauką czystego rozumu: wszystko, co jest bytem (*esse*) – zarówno świat stworzony, jak i Stwórca, – pozostaje w polu „*cogito*” jako treść ludzkiej świadomości. Filozofia zajmuje się bytami o tyle, o ile są treścią świadomości, a nie o tyle, o ile istnieją poza nią.” Słowo „Oświecenie” pisane jest w tej wypowiedzi z małej litery.

Ograniczając się do profesji polskich żurnalistów i publicystów w dziennikach i tygodnikach (pomijam filozofów widzących wszechświat w jego obiektywnym materialnym istnieniu) pytam, czy u nas poważono się na niezgodę wobec powyższego wywodu? Że mianowicie zło naszych czasów wzięło się z konsekwencji myśli oświeceniowej. Czy w Polsce byłoby to możliwe? Żadnemu z obecnych „gwiazdorów” gildy dziennikarskiej, tak mi się zdaje, nie przyszłoby do głowy, by np. ten zapewne z punktu widzenia teologicznego „racjonalny” pogląd nazwać wstecznym. Cytat ten pochodzi bowiem z wydanej w 2005 roku przez ZNAK książki Jana Pawła II *Pamięć i tożsamość*.

Niemieccy polityczni pisarze wobec Benedykta XVI

Zgoła inaczej mają się rzeczy z Benedyktem XVI i niemieckimi publicystami. Pomijając

z oczywistych względów znanych krytyków Kościoła w rodzaju Karlheinz Deschnera, Hansa Künga czy Hubertusa Mynarka, bo to specjaliści w dziedzinie teologii i dziejów Kościoła, skupiam się po ważnej lekturze na dwóch opublikowanych w ostatnich dwóch latach pracach.

Pierwszą z nich jest książka 77-letniego Gerharda FELDBAUERA, habilitowanego, który przez kilka dziesięcioleci pisał teksty jako korespondent z Włoch. Tytuł tej wydanej w kolońskim Papy Rosa-Verlag: *Der Heilige Vater. Benedikt XVI – Ein Papst und seine Tradition*.

Drugą, zatytułowaną *Benedikts Kreuzzug. Der Angriff des Vatikans auf die moderne Gesellschaft* wydał Ullstein Verlag a napisał ją 60-letni germanista i anglista, znany z licznych prac monograficznych, podręczników a także z twórczości dziennikarskiej w gazetach z grupy „Die Welt”, Alan POSENER.

Z bibliografii podanych zarówno w jednej, bardziej „politycznej” i historycznej pracy Feldbauera, jak i drugiej, obszerniejszej i pogłębionej w sensie naukowym rozprawie Posenera wynika, że „bawarskiego” papieża przedstawiło w latach 2005–2010 kilkudziesięciu autorów niemieckich, z których tylko niektórych można posądzać o hagiograficzne zamiary wobec swego bohatera – Josepha Ratzingera.

Pomyłka

Urodzony w bawarskim Marktł w 1927 roku i wychowany w surowej dyscyplinie przez ojca, który był żandarmem, 265. papież (pierwszy Niemiec od 500 lat) wyświęcony został na kapłana w 1951 i pod opiekuńczym okiem monachijskiego kardynała Faulhabera podjął pracę naukową (po dwóch latach doktorat, po dalszych czterech habilitacja). Nim w 1977 roku został arcybiskupem w Monachium (po czterech latach już w kapeluszu kardynalskim) wykładał teologię na kilku uniwersytetach niemieckich. Jako ekspert-asystent kolońskiego kardynała Fringsa uczestniczył w latach 1962–1965 w pracach Vaticanum II i uchodził za zwolennika zapowiadanych i wprowadzanych reform w rzymskim Kościele.

Powołany w 1981 przez Jana Pawła II na prefekta watykańskiej Kongregacji Wiary pełnił przez 24 lata funkcję najwyższego, oczywiście po pontifexie, strażnika rzymskokatolickiej prawo-

myślności. Jako szef współczesnej inkwizycji wydał – jak podaje Feldbauer – 116 skazujących wyroków i zakazów wobec „błądzących” teologów i w postaci oficjalnych „notificationes” blisko 300 napomnień, pouczeń i innych orzeczeń.

„Kto sądził, że wsteczny kurs Jana Pawła II nie może już być zaostrożony, ten się mylił” – pisze autor. Bezwarunkowy konserwatywny kurs – jak pisze Feldbauer – nabrał pod pontyfikatem Benedykta XVI nową dynamikę. Przejawia się to w rozległym obszarze i dogmatyki, i z wynikających z niej potępień wobec rozlicznych konkretnych spraw, którymi żyją katolicy w poszczególnych regionach świata. Z jednej strony mamy za jego pontyfikatu zaostrożenie krytycznej polityki Jana Pawła II wobec biskupów południowo-amerykańskich wspierających mniej lub bardziej aktywnie teologie wyzwolenia, z drugiej, podjęty w trzecim roku sprawowania urzędu trud wcielenia Bractwa Piusowego w prawowity nurt Kościoła – i to bez rezygnacji z dwuznaczności „braci” w sprawie Holocaustu. Postulaty podnoszone w rzymsko-katolickim laikacie (np. w aktywnym w Niemczech ruchu „Wir sind die Kirche”), a dotyczące antykoncepcji, „obrony życia poczętego”, roli kobiet, sztucznego zapłodnienia in vitro, – o celibacie nie wspominając – są traktowane z równą surowością jak za jego poprzednika. **Pod jednym względem, jak się zdaje, Benedykt XVI poszedł o krok dalej w ofensywności Watykanu, mianowicie wzmacniając w swoim otoczeniu i w Kościele w ogóle wpływy „białej mafii” – Opus Dei.**

Historiozofia

Feldbauer sporo uwagi wśród tradycji obecnego biskupa Rzymu poświęca temu, jak fakt bycia Niemcem i kształtowania się jego poglądów na hitlerizm i zbrodnie wojny pod wpływem prohitlerowskiego kardynała Faulhabera, wpłynął na poglądy Josepha Ratzingera.

(Tu uwaga: We wrocławskim Archiwum Archidiecezjalnym, pracując 50 lat temu nad swym doktoratem o politycznym katolicyzmie w Niemczech lat 20. i 30., czytałem oryginały odręcznych pism oraz telegramów skierowanych przez kardynała Faulhabera do przewodniczącego Konferencji Biskupów w Fuldzie wrocławskiego metropolity kardynała Bertrama,

z których jednoznacznie owe prohitlerowskie poglądy Faulhabera wynikały. Wyniki nowych studiów przedstawiłem w książce *Reszta była milczeniem* oraz w pracy *Niemiecka Partia Centrowa w latach 1934–38*)

Skamieliny politycznego myślenia południowo-niemieckiego metropolity oraz jemu podobnych wyraźnie zachowały się w historiozoficznych poglądach obecnego pontifexa. Jako przykład Feldbauer podał jego słowa wypowiedziane w 2006 roku na terenie hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. „Nie mogłem przyjechać do Polski bez udania się do Oświęcimia” – słowa jakby tłumaczące przybycie do tego miejsca. „Gromada zbrodniarzy, która przy pomocy kłamliwych obietnic, zapowiadając wielkość dzieła odzyskania czci narodu oraz jego znaczenia, wieszcząc dobrobyt ludu niemieckiego a także sięgając po terror i zastraszenie zdobyła władzę, na skutek czego naród nasz mógł zostać użyty i nadużyty (gebraucht und missbraucht) jako narzędzie ich wściekłości niszczenia i panowania”.

Zdziwienie wśród Polaków, i nie tylko, było najłagodniejszą formą wyrażenia opinii do tak pojmuwanej „historiozofii” Josepha Ratzingera. Nigdzie nie czytałem, aby Benedykt XVI do wyżej wydanej oceny wniósł jakąś poprawkę. Znamienne, że w polskiej Wikipedii zabrakło informacji na temat słów Benedykta XVI w Oświęcimiu, a także o innych wypowiedziach o Niemcach w czasie hitlerizmu i wojny.

U Alana Posenera czytamy do tego ostry komentarz: „Byłoby lepiej, gdyby papież, zamierzający przedstawić Niemców jako ofiary zbrodniczego reżimu i w ten sposób relatywizować ochoczy udział zdecydowanej większości narodu w realizowaniu celów III Rzeszy, w ogóle nie pojechał do Polski”. Autor ten wypomina Ratzingerowi także mowę wygłoszoną nad grobami żołnierzy niemieckich we francuskim La Cambre: „Nas Niemców musi napęłnić wielkim bólem to, że ich (żołnierzy) idealizm i posłuszeństwo wobec państwa doprowadziło do służenia niesprawiedliwemu reżimowi. Jednakże ujmy im to nie przynosi. Choć pod presją wewnętrznych rozterek, przy straszliwych wątpliwościach i wielu pytaniach oni po prostu wykonywali swoje obowiązki wobec Państwa (...) które było całkowicie w prawie, aby wymagać od nich posłuszeństwa zgodnie z Listem św. Pawła do Rzymian...”.

Albowiem „Traktat Wersalski świadomie chciał poniżyć Niemców i przygnieść ciężarami, które wpędzały ludzi w radykalizm i w ten sposób otworzyły wrota dyktaturze...” Tę już standardowo przez obrońców polityki czasów weimarskich i powojennych tezę wspierał faktycznie watykański sekretarz stanu Eugeniusz Pacelli, od 1939 roku papież Pius XII, który przez dążącego do jego beatyfikacji Benedykta XVI wielbiony jest jako „najwspanialszy dar Boga dla Kościoła”.

Benedyktyński zwrot

Gdy u Feldhaubera wymienione w podtytule jego książki *tradycje* odnoszą się przede wszystkim do spraw historyczno-politycznych, to w pracy Alana Posenera zdaje się przeważać analiza doktrynalnych fundamentów konserwatyzmu Benedykta XVI. Pisze o „ataku Watykanu na nowoczesne społeczeństwo”. W posumowaniu swej analizy autor stwierdza: „Reprezentowana przez obecnego papieża konserwatywna duchowość jest z pewnością bardziej skrajna, niż to się z początku wydawało... W sytuacji, w której Europa i Zachód szukają swych korzeni, nabrzmiewa, nie tylko zresztą w Kościele, tendencja, aby owe korzenie definiować wyłącznie w duchu chrześcijańskim. Wprawdzie mówi się od pewnego czasu o «judeo-chrześcijańskim» rodowodzie, wykreślając przy okazji z pamięci 2000 lat walki z judaizmem, z Żydami. Tolerancja – wielkie dziedzictwo Oświecenia nadal jest generalnie podejrzane i oskarżane.”

Benedykt XVI – pisze Posener – jest przewodnią postacią wyprawy krzyżowej (Kreuzzug) przeciw wielokulturowym tendencjom i sekularyzmowi świata zachodniego. „**O ile Drugi Sobór Watykański był spóźnioną próbą dostosowania Kościoła do nowoczesności, o tyle pontyfikat Benedykta XVI oznacza (wole) dostosowania nowoczesności do potrzeb Kościoła**”. Jego zwolennicy, pisze Autor, nazywają to „**benedyktyńskim zwrotem**”. Interpretując to pojęcie Posener pisze: „**Odwroćenie się od nowoczesności, odrzucenie Oświecenia, ograniczenie demokracji, odejście od naukowego myślenia, koniec z emancypacją kobiet i seksualnym samookreśleniem ludzi – oto czym jest ten zwrot**. Oznacza on reinterpretację historii i odwrócenie wszyst-

kich wartości. Koniec końców ma on więcej wspólnego z fundamentalistycznym Islamem niż z zsekularyzowanym społeczeństwem Europy. Oznacza negację wszystkiego, co przy wszelkich niedoskonałościach Zachodu czyni go wartym miłości i życia”.

Wielkopiątkowa modlitwa

Ewidentnym przykładem rzezonego „zwrotu” jest – tutaj autor cytuje niemieckiego teologa Ericha Zengera – „przywrócenie do domu Kościoła Powszechnego tradycjonalistów, co oznacza, że nowe widzenie judaizmu poświęcono na ołtarzu wewnątrzkościelnej strategii”. Ów zwrot – owo „nowe widzenie” – odnosi się do dokonania Drugiego Soboru Watykańskiego, konkretnie do dokumentu „*Nostra Aetate*” z 1965 roku. Chodzi o pewien fundamentalny szczegół – o fragment modlitwy wielkopiątkowej. Napisano bowiem we wspomnianym soborowym dokumencie, że nie należy przedstawiać Żydów jako porzuconych i przeklętych przez Boga, jako że nie wszyscy ówczesni Żydzi, a tym bardziej obecnie żyjący, ponoszą odpowiedzialność za śmierć Jezusa-Chrystusa. Pięć lat później Paweł VI sformułował zgodną z Vaticanum II modlitwę wielkopiątkową i nadał jej takie oto brzmienie: „Módlmy się także za Żydów, do których Bóg, nasz Pan, przemówił jako pierwszy.” Wprawdzie są tam także słowa, aby „Bóg sprawił ich dojście do pełni zbawienia”, które, jak wiadomo, dostępne ma być jedynie chrześcijanom, ale słowo o pierwszeństwie dostępu do Przykazań miało swoją wagę.

Zakładając w 1970 roku „Wspólnotę Duchownych św. Piusa X” (zwanym Bractwem Piusowym) i powracając do mszy w obrządku łacińskim arcybiskup Marcel Lefebvre przywrócił tym samym tekst modlitwy wielkopiątkowej: „*Oremus et pro perfidis Judeis*”. Niewierzących w Jezusa Żydów – zdaniem następcy Lefebvra – nie można zwalniać od zarzutu mordowania Boga, albowiem jak mówi Ewangelia, „kto nie chce Syna, nie ma też Ojca”. Powiedziano to w 2006 roku. Mimo to Benedykt XVI przyjął rok później w Castel Gandolfo grono wysokich duchownych „Bractwa Piusowego” komunikując im, że znosi ekskomunikę, którą Jan Paweł II nałożył na czterech nieprawowicie wyświęconych biskupów „tradycjonalistów”. Powołującym się na dokument soborowy krytykom kazał

odpowiedzieć, że „Vaticanum II nosi w sobie całą historię nauczania Kościoła” i że nie wolno „odcinać korzeni, z którego wyrosło drzewo”.

Posener rozdział na temat „powrotu tradycjonalistów na łono „Matki-Kościola” kończy tak: „Porównując jego bezwzględną walkę z teologią wyzwolenia i ostrość potępienia zachodniej «kultury śmierci» z łagodnością okazywaną «Piusowym Braciom» widać, w jakim kierunku papież prowadzi Kościół”.

Galileusz i Darwin

Inny charakterystyczny rys „benedyktyńskiego zwrotu” ukazuje Posener na następującym przykładzie: w styczniu 2008 roku miał Benedykt XVI wystąpić na państwowym uniwersytecie La Sapienza w Rzymie z teologiczną *lectio magistralis*. Przeciw temu wystąpili studenci uczelni, a grono 67 fizyków i matematyków poparło ten protest. Pamiętali oni bowiem, że przewodniczący Kongregacji Wiary kardynał Joseph Ratzinger w 1990 roku w swoim ówczesnym wykładzie na tym uniwersytecie uznał proces Inkwizycji przeciw Galileuszowi za „racjonalny i sprawiedliwy”. Zaatakował wprost Oświecenie, prawił o „micie oświecenia”, który miał stworzyć puszkę Pandory dla zgubnych teorii prowadzących do „perwersyjnego końca”. Wsparcie przez Galileusza heliocentrycznej teorii Kopernika przekreślało bowiem cały dorobek doktorów Kościoła, samą Ewangelię. Zastraszony groźbą tortur wielki uczony – jak przypomina Posener – poddał się woli Św. Inkwizycji a ujęte w „Dialogo” (1616) i w „Discorsi” wyniki swych dociekań pisał w odosobnieniu.

Jan Paweł II w swej homilii z okazji 350 rocznicy śmierci Galileusza zawarł słowa, że „twórca fizyki teoretycznej” był „nie tylko jako uczony, ale także jako człowiek wierzący o wiele bardziej dalekowzroczny niż jego prześladowcy”. Następca ma widocznie inne zdanie.

Protestujący studenci i profesorowie czynili Benedyktowi XVI także zarzut z powodu jego stosunku do teorii ewolucji. Na samym początku swego pontyfikatu stwierdził, że „nie jesteśmy przypadkowym i pozbawionym sensu produktem ewolucji”. I w tej sprawie papież z Bawarii odchodzi od tego, co mówił jego poprzednik z Polski o relacjach między nauka-

mi ścisłymi i dogmatami wiary w Boga. Dla polskiego papieża ewolucja „była czymś więcej niż hipotezą”. Przewodzący grono najbliższych zwolenników Benedykta XVI kardynał Schoenborn, któremu papież polecił powiedzieć „wreszcie jakieś odważne słowo” uznał to wypowiedziane w 1996 zdanie za „zbyt śmiałe i nieważne”. Amerykańscy konserwatyści w miejsce „bezbożnej hipotezy Darwina” wynaleźli „kreacjonizm”. Sam Benedykt XVI posługuje się w tej sprawie pojęciem „Intelligent Design” zawierającym potępienie dla teorii Darwina „pozbawionej wiary, że to Bóg był owym genialnym inżynierem-budowniczym” świata. Bez prawdy Biblii teoria ewolucji jawi mu się jako herezja, atakiem na jądro chrześcijaństwa. To opowieść o Stworzeniu Świata stanowi wedle niego „summę wszelkiego poznania”. A to dlatego, że „chaotyczny proces ewolucyjny, który miałyby odbywać się poza Boską Opatrznością, **po prostu istnieć nie może**”. Tę część swych wywodów Alan Posener kończy cytując niemieckiego historyka nauk Thomasa Junkera. Pod rządami Benedykta XVI „wrogość wobec nauki znacznie się wzmogła”. **Taki jest, jak nazywają go hagiografowie, „duchowy mocarz” rodem z Markt.**

Strach przed „dołami”

Posener stawia pytanie, co się stało, że uczestniczący w Drugim Soborze Watykańskim jako asystent kolońskiego kardynała Fringsa cofnął Kościół w epokę zdawało się już minioną? Autor podkreśla, że Vaticanum II przyjęło zasadę „Kościół od dołu” i znalazło to swój wyraz w encyklice „Gaudium et spes”. Owe „od dołu” przeraziło Josepha Ratzingera pod koniec lat 60.

Przybierający z czasem ekstremalne formy bunt zwłaszcza młodzieży francuskiej i zachodniemieckiej przeciw kłamstwom wstecznej władzy uruchomił ogólny proces rewidowania półprawd i świadomych przeinaczeń o niedawnej przeszłości. Objęte tą rewizją został także Kościół czasów dwóch ostatnich Piusów. Dla ówczesnego profesora Ratzingera był to sygnał do podjęcia walki ze zrodzonym z Oświecenia relatywizmem i postępującą sekularyzacją kontynentu. Widział w tym przejawy

upadku „duchowo puste” Europy, która w jego oczach ginęła jak 1600 wcześniej kończył się Rzym. Przywołując często autorytet św. Augustyna zatruwonego „zgnilizną moralną” tamtej epoki, myślenie i działanie „pancernego kardynała”, prefekta współczesnego Św. Officium i następnie papieża, Benedykt XVI tych samych oznak „zgnilizny” dopatrywał się – jak pisze Posener – w obecnych czasach. Augustyn miał przeciw sobie brytyjskiego mnicha Pelagiusa, który ośmielał się twierdzić, że człowiek jak stworzenie boskie sam z siebie może odróżnić Dobro od Zła. Uznano to za herezję.

Benedykt XVI uważając, że rozpasanie zbyt wolnego w swych myślach i czynach człowieka stanowi obecnie „najgłębszy problem moralny świata”, w opozycji do „Gaudium et spes” napisał własną encyklikę „Spe salvi”. Bez nauczania Kościoła, który wyznacza „moralny rozum ludzkości” człowiek sam z siebie nie jest w stanie dokonać rozróżnienia między Dobrem i Złem. Podjął się próby przedefiniowania „rozumu”. Pierwsze zdanie z ewangelii św. Jana, które brzmi „Na początku było logos”, tłumaczone w Kościele jako „Na początku było słowo” interpretował w taki sposób, że „logos” oznacza zarówno słowo jak i „rozum”. A że rozum dany jest od Boga każda krytyka Pisma jest nierozumna.

„Demagogia” praw ludzkich

Stąd, jak pisze Posener, tylko krok do poglądu, że „prawienie o prawach ludzkich nacechowane jest demagogią” albowiem odrzucenie pieczy Kościoła nad wolnością musi samo przez się doprowadzić na manowce grzechu. Z takiego rozumowania wynika też benedyktyński stosunek do „wyolbrzymionej demokracji” oraz do „zbyt daleko posuniętego pluralizmu”.

Zastrzegając, że nie jest teologiem, pisze Posener o teologii Benedykta XVI, „o ile jest teologiem”, iż zawsze jest przesiąknięta polityką w uniwersalnym sensie tego słowa. Znajduje to swój wyraz m.in. w stosunku do Islamu, którego niezłomny fanatyzm jest zdaniem autora równy fundamentalizmowi Kościoła pod rządami Josepha Ratzingera.

Ta wspólna cecha dwóch wielkich religii zasługiwałaby na oddzielne potraktowanie.

Autor jest znanym, wielokrotnie wyróżnionym publicystą, wybitnym znawcą spraw niemieckich; autorem cenionych książek i studiów.

Radosław S. CZARNECKI

Mała rzecz o tajemnicy

Cóż to jest tajemnica? Zwłaszcza postrzegana teologicznie, teistycznie, jako swoiste *sacrum*. To zawsze prawda religijna której nie można ogarnąć ludzkim rozumem. Tylko bowiem Bóg objawiać może treści i sens owych prawd.

Tajemnica to z greki – *mysterion*, a z łaciny – *misterium*. Jak pisze o. J. Salij (OP) sens religijny tajemnicy wiary wynika zawsze z faktu ograniczonej zdolności ludzkiego umysłu i ducha. Czyli z zakładanej ułomności osoby ludzkiej wobec potęgi Absolutu. Z „gorszości”, niepełnej wartości, wadliwości, upośledzenia. Kościół i elity rządzące zawsze na tym fakcie bazowały w historii. W myśl dewizy – wy nie wiecie, my wam powiemy, a wy nas słuchajcie...

W świetle takich założeń i objaśnień dość dwuznacznie mogą wyglądać nawoływania do zwiększenia czy powrotu znaczenia tego pojęcia – TAJEMNICY – w życiu codziennym Europejczyków, we współczesności kultury Zachodu.

Dziś bowiem wielu autorów, publicystów, ludzi kultury i polityki postuluje powrót do tajemnicy jako integralnej części europejskiej cywilizacji.

Takim przykładem mogą być A. Malraux i V. Havel, dwaj znamienici i znaczący myśliciele XX wieku. Francuz miał stwierdzając, iż „*wiek XXI będzie wiekiem religii, albo nie będzie go wcale*” dać asumpt tradycjonalistom i wszelkiej maści konserwatystom katolickim, którzy zaczęli interpretować ten zwrot niezwykle użytecznie i docześnie. Ich zdaniem jedynie powrót do „starych, dobrych, sprawdzonych” czasów przed-oświeceniowych oraz do patriarchalnie pojmowanej struktury społecznej Europy zapewnić może Staremu Kontynentowi i światu spokój, porządek i ład moralny. A te *explicitie* zapewnia religia chrześcijańska (*vide* – katolicyzm).

Z kolei były prezydent Czechosłowacji i Republiki Czeskiej, dysydent z okresu sprzed „aksamitnej rewolucji”, dramatopisarz i eseista, myśliciel i reżyser, Vaclav Havel stwierdza z kolei, iż „*żyjemy w pierwszej cywilizacji ateistycznej, która utraciła związek z nieskończonością i wiecznością. To cywilizacja pychy*”. I ten passus także może być odczytywany przez ortodoksów i różnej maści purytanów religijnych, pravicowców i tradycjonalistów jako zachęta do powrotu w stronę minionego życia zbiorowego opartego o związki wyznaniowe i narodowe (nie obywatelskie i wielokulturowe), gdzie wyznacznikiem jest tradycja, konserwatyzm, stagnacja mentalna, estetyczne skostnienie, absolut i bogoojczyzniana jedność.

Owa krytyka współczesności odartej z „tajemnicy i wieczności” brzmi dziwnie znajomo i wpisuje się w niezwykle popularny od ponad 3 dekad trend totalnej krytyki modernizmu, nowoczesności, tradycji oświeceniowych i racjonalizmu. Dziwnie współbrzmia one z jednoznacznie realizowanym od dłuższego czasu ostrym i frontalnym atakiem na Oświecenie i racjonalizm (łącznie z ich dorobkiem). Środowisko pravicowych i neokonserwatywnych myślicieli – zwłaszcza z Francji i zza Oceanu – poprzez różne parable intelektualne i uzasadnienia minimalizujące rolę rozumu w procesach poznania oraz wyrwywania się naszego gatunku „*na dorosłość*” i do wolności, jednoznacznie tworzy w świadomości opinii publicznej klisze obarczające ową epokę (Oświecenie) za wszelkie potworności, totalitaryzmy, masakry i wypaczenia cywilizacyjne jakie miały miejsce w XX wieku.

Dlaczego współczesny człowiek ma myśleć, ma potrzebować, ma pragnąć „*wieczności i tajemnicy*”, uniwersalnej idei i utopii, jeśli wokół wszystko

ŚWIADECTWO

Władysław Loranc

Oczyszczająca moc rzeczywistości

Dwudziesty wiek, dla wielu ciężko nim doświadczonych, wydawał się być krótkim stuleciem. Przybywa powodów, byśmy zwątpili w sens tej oceny. Po tragicznym upadku M. Gorbaczowa i tragifarsie epizodu z Jelcynem, po dramatycznym załamaniu polityki porozumienia W. Jaruzelskiego i farsie reform L. Wałęsy wiemy, że XX wiek jeszcze trwa. Nie rozwiązano żadnego z konfliktów destabilizujących świat.

Nie ma żadnego „końca historii”. Wielkie nadzieje stłumiły nie mniejsze tragedie. Zmieniło wiele. Media codziennie proklamują sensacyjne nowości, a przecież wystarczy wyjść na ulicę, pobyć w fabryce czy w szkole, by stwierdzić, że co prawda aktorzy się zmieniają, lecz sztuka, w której grają to w istocie plagiat tych wad, które obiecywano naprawić w Wersalu (1918), później w Poczdamie (1945), a wreszcie w Paryżu (1990). Pełne uroku opowieści „dokąd idziemy” zamieniono na homilie „dokąd wrócić”. Brzmi to zachęcająco, lecz niczego nie zmienia w wiedzy o świecie i przyczynach bezradności człowieka wyposażonego w nowe prawo wyborcze. Znow okazało się, że do zawarcia umów zawsze jest w Polsce wielu chętnych, a brak ich, gdy trzeba czynem potwierdzić wolę wykonania. Mamy bogate doświadczenie, które pozostaje nieprzemyślane, białe plamy zastępuje się plamami czarnymi i odwrotnie. A doświadczenie niezrozumiane nie jest tą historią, o której mówimy jako o nauczycielce życia. Dopiero zrozumiane doświadczenie staje się wiedzą. Jest mądrością i warunkiem zachowań dojrzałych. Mamy nadal poważny problem ze zrozumieniem naszych doświadczeń. Gdy o tym myślę, zastanawiając się co robić, wracam do odkrywczej myśli W. Gombrowicza: „Wierzę w moc oczyszczającą rzeczywistości (...) Jeśli pod słowem patriotyzm podłożymy najgłębsze jego znaczenie – to jest on samą zdolnością stwarzania Ojczyzny (...) czy ja, broniąc Polaków przed Polską jestem czy nie jestem patriotą (...) cóż wart jest naród złożony z ludzi sfalszowanych i zredukowanych”?

Moja wiara w oczyszczającą moc rzeczywistości wzmocniła się i okrzepła po lekturze dwóch mądrych i rzadkiej urody książek Jadwigi Wrońskiej: *Z dała od burzy* oraz *Długi cień wojny*. Bohaterem pierwszej jest rodzina wysiedlona z Żywca jesienią 1940 roku w ramach Saybusch – Aktion, operacji terrorystycznej podjętej dla skolonizowania rdzennych ziem polskich włączonych do III Rzeszy. Deportowano rodzinę do Generalnej Guberni. Przeszła los setek tysięcy innych rodzin polskich z Pomorza, Ziemi Łódzkiej, Wielkopolski,

Beskidów. Autorka wspomina losy zesłanych i losy przyjmujących zesłańców. Poznajemy ich zmagania o przetrwanie, ich losy i lęki, ale nie z relacji ludzi dojrzałych, lecz przeżyć niezwykle wrażliwego dziecka. Poczucie tragiczności jego doświadczeń przyjmujemy bez wahań, bo nie ma w opisie żadnej wstępnej tezy. W odautorskim słowie autorka zwierza się z tremy wobec czytelnika wyrażając jednak nadzieję, że jej książka: „Wnieście trochę wiedzy o pozaobozowej i pozapowstańczej codzienności lat wojny”. By potwierdzić wartość tej intencji opowiem trzy z wielu opisanych sytuacji, umożliwiając czytelnikowi zrozumienie, co burza wojenna przyniosła w obszarach oddalonych od jej epicentrow.

Zbliżająca się wojna wezwała ojca autorki, a gdy ugrzązł w łagrze spowodowała, że do jego domu sprowadziła się babcia i ciocia dzieci. Powód wyjaśniła im babcia: „W ciężkich chwilach należy trzymać się razem”. Nieco później, lecz rychło do drzwi mieszkania załomotały nocą prawdziwe cele tej wojny. Okazało się, że wypowiedziano ją także dzieciom. Dziewczynka pamięta, że przecierając zaspane oczy stoi z bratem na stole, a babcia drżącymi rękami ubiera ich w bieliznę, rajtuzy, parę swetrów i ciepłe skarpetki. Autorka wspomina wysiłek by zrozumieć czy stojący z karabinami żandarmi stoją naprawdę czy jej się to śni. Gdy z 15 minut przewidzianych na opuszczenie domu pozostały trzy i żandarm o tym przypomniał, zrozumiała, że to nie sen, lecz jawa, której ona zupełnie nie rozumie. Po wyjściu na ciemną ulicę usłyszała jak z ulicy głównej dochodzi dziwny szum. Wspomina: „W kierunku dworca płynie jakby ludzka rzeka, przed nami, obok nas, i z tyłu poruszają się setki nóg. Ponieważ w ciemności łatwo wpaść w jakąś wyrwę lub na kogoś wszyscy nie tyle kroczą, co przesuwają nogi po ziemi i to wywołuje ten głośny szmer”. Trwająca trzy dni podróż w towarowym wagonie kończy się na stacji Garwolin, z której furmankami docierają do odległej o 20 kilometrów wsi Gościewicz. Zaczyna się drugi akt trwającego prawie pięć lat wygnania. Po pierwszym noclegu, na słomie rozrzuconej na podłodze, zaczyna się organizacja warunków koniecznych by przetrwać.

Niewiele mamy w naszej literaturze postaci tak mądrze sportretowanych jak matka i babcia w dniach ich codziennych, gdy włókna nerwów napinało zmęczenie oraz głód, chłód i strach, gdy należało słuchać nie tylko instynktu samozachowawczego lecz więzów krwi wzywających do opieki nad dziećmi, do gotowości pomocy sąsiadom i solidarności z innymi zagrożonymi. Autorka wspomina, że w pierwszych dniach wypędzenia łąy w oczach matki zobaczyła dopiero wtedy, gdy ta opowiadała babci jak przyjęła ją starsza sąsiadka. Wspomogła mąką, chlebem i mlekiem. Obdarowała kilkunastoma metrami samodzielnego płótna na prześcieradła. Zapewniła o bezinteresownej pomocy synów w zbudowaniu pryczy. Próbę zapłaty sąsiadka odrzuciła tłumacząc: „Przecież jest wojna, jak sobie nie będziemy pomagać to kto nam pomoże. Nie wiadomo, kto jutro będzie potrzebował pomocy: wy czy my”? Nie wszystko szło tak gładko. Starsi mieli już swoje doświadczenie, a dzieci zdobywały swoje w warunkach trudnych, mówiąc wprost nieludzkich.

Trwała wartość ma realistyczny opis przewycięzania różnic, nieoczekiwanych konfliktów, bo wynikających ze stereotypów środowisk. Trzeba się było uczyć sensu słów niby znanych: „praca”, „własność”, „dziad i pan”, „pinda z miasta”. Tu niezwykle cenną okazała się pomoc ze strony matki przestrzegającej przed potępieniem. Mądrym przewodnikiem była babcia, która najuczciwiej jak mogła tłumaczyła sprawy trudne. Zapytana, dlaczego wierzy, a do kościoła nie chodzi ta katoliczka, wdowa po ewangeliku (na Śląsku Cieszyńskim rzecz częsta) przypomniała, że w czasie trwania małżeństwa przeżyła wiele przykrości a nawet krzywd. Zachowała wiarę, lecz zerwała z wszelkimi obrządkami. Wnuczce tłumaczyła to tak: „Najważniejsze żeby żyć uczciwie. A jeśli Bóg nie wysłucha moich modlitw, gdy sama z nim rozmawiam to tym bardziej nie usłyszy mnie w chórze”. Świat dorosłych trudno było

zrozumieć, ale z takimi przewodniczkami dzieci uczyły się go łatwiej, a przede wszystkim rzetelnie.

W czasie lektury przypominałem sobie inny opis doświadczania przez dzieci świata terroryzowanego przez faszyzm. Myślę o *Malowanym ptaku* J. Kosińskiego. Dwie książki o jednej rzeczywistości, którą przeżyliśmy i która nie minęła bez śladu. Książkę J. Wrońskiej wzięłem do ręki jak chleb. Po *Malowanego Ptaka* sięgają głównie ci, co potrzebują środków dopingujących, narkotyków.

Pomyślałem o niezwykłych odkryciach, których zapewne można by dokonać porównując te dwa „reportaże” z pamięci dzieci. Ileż pasjonujących tematów studenckich dyskusji seminaryjnych na polonistyce i historii tkwi w opisie doświadczeń ostatniego pokolenia bezpośrednio dotkniętego wojną.

Każdy rok wygnania dawał wytchnienie tylko w czasie świąt, które pielęgnowano, bo wzmacniały siły niezbędne, by wrócić do normalności. Dzieci rosły w pełnym napięciu oczekiwaniu na „powojnie” czyli czas, w którym ludziom nic już nie będzie przeszkadzać, by byli wobec siebie dobrzy i serdeczni. Nastąpił wreszcie upragniony powrót do Żywca. Był on dwuetapowy. Najpierw zatrzymano się u wujka w Skawinie, a później pojechano do rodzinnego miasta. Wracali towarowymi wagonami, bo nie było innych. Babcia oglądając je powtarzała: „Tego, co zniszczono w Polsce nie odbuduje się nawet za sto lat”. Dziecko odrzucało ten pesymizm. Tym razem, jak po latach napisze w książce – „Mylimy się obie”. Rekonwalescencja z wojennych urazów trwała w Skawinie kilka tygodni, a pobyt autorki przedłużył się do ponad roku. Uczy się, dużo czyta, porządkuje swoje przeżycia. Bardzo źle znosi oddalenie od rodziny. Ma nadal wiele pytań, ale na inne już tematy. Wpada jej do ręki kalendarz z wierszykiem N. Żmichowskiej, w którym ta egzaltowana poetka pisze: „Być kochaną, umrzeć młodą (ludzie, ludzie czy wy wiecie), że to szczęściem jest na świecie”? Dziecko, które przeżyło zbyt wiele i zbyt wcześniej buntuje się przeciw tym słowom. Pyta wujka: „Dlaczego umrzeć młodo jest szczęściem”? Zdumiało go to pytanie, lecz trafnie odkrył jego literacki rodowód i odpowiedział: „Bój się Boga dziewczyno, co ty wygadujesz? Od książek też można zgłupieć, zapamiętaj to sobie”.

Dziś, gdyby oboje dożyli, mogliby przeczytać w *Dziennikach* J. Iwaszkiewicza: „Czytanie jest funkcją bardzo ogłupiającą, deprymującą. Czytanie – byle czytać – jest oznaką starości”. Wujek dał praktyczny przykład, dlaczego maluje obrazy i dla jakiej potrzeby czyta. Opis jego ślubu z ukochaną kobietą to najmocniejsze i optymistyczne przeżycie w procesie skawinińskiej rekonwalescencji. Było jakimś wielkim akordem w procesie powrotu zaufania do humanizmu. Dziecko nad wiek rozwinięte, niezwykle refleksyjne i prostolinijne, usiłujące zrozumieć swój świat uczestniczy w świecie, w którym człowiek pełni rolę główną. Otrzymuje piękną, białą sukienkę.

Dorożką jedzie z najbliższymi do ewangelickiego kościoła w Krakowie. Wierzy, że uśmiechy świadków przejazdu skierowane są do niej. Jest „oszołomiona szczęściem, tą piękną podróżą i zachwytem nad sobą samą”, Wreszcie akceptuje siebie, w książce napisze tak: „Ech! Mogłabym tak jechać do końca życia”.

Czytając ten opis zrozumiałem, że Autorka broni prawa każdego człowieka do królewskich epizodów w swoim życiu, do spontanicznego reagowania radością, do wyrazów podziwu ze strony innych ludzi. To prawo jest warunkiem zrozumienia swego życia. A spełnienie tego warunku odnawia jego siły i otwiera go na innych ludzi. Doświadczenie staje się nie tylko zaznane lecz i zrozumiane. Rozwija twórcze możliwości w podejściu do przeżyć innych ludzi.

Sugestywnie potwierdza to druga z poznanych książek: *Długi cień wojny*. Nie jest to literacka opowieść obojętna wobec obozów i powstań, ale głos przestrogi przed złudzeniem, że wojna kończy się z chwilą zamilknięcia strzałów i zablźnienia ran. Urazy, zwłaszcza te doznane przez dziecko, trwają długo, bardzo długo. Ślady odcisnięte na rozwijającej się duszy rzucają nie tylko cień. Blizny wyniesione z totalnej wojny odmieniają psychikę dziecka, a te zmiany wymagają terapii właściwie przez całe życie. Tylko osobowość silna w warunkach rozbestwionego terroru wspomagana opieką tak rozsądną jak zdarzyło się to Jadwidze Wrońskiej, zwłaszcza ze strony najbliższych, nie tylko zostaje uratowana, ale przygotowana do pomagania innym.

Niewiele jest w naszej literaturze towarzyszącej wojnie tak pięknych i tak trwałego znaczenia portretów ukochanej matki i babci jak te, które stworzyła Autorka obu książek, o których z wdzięcznością tu piszę. Zdecydował o tym nie tylko fakt, że Saybusch-Aktion dotknęła bezpośrednio także moją rodzinę. O podziwie i wdzięczności decyduje fakt, że Autorka uzmysłowiła mi, iż odpowiedzialność za własne życie, za obecność w nim satysfakcji i szczęścia zawsze należy od odpowiedzialności za własną biografię, za wolę jej aktywnego kształtowania.

Autorka sportretowała kogoś, kto miał odwagę stwarzania siebie oraz niezbędną dla osiągnięcia sukcesu inteligencję i wrażliwość. To w literaturze współczesnej przypadek rzadki.

Jadwiga Wrońska, *Z dala od burzy*, Wydawnictwo „Spes”, s. 159; Jadwiga Wrońska, *Długi cień wojny*, Wydawnictwo „Spes”, s. 176.



Rys. Marek Chaczyk

FORUM

FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA

Okiem filozofa

„Uroki” liberalizmu ekonomicznego

Od dwudziestu lat panuje u nas przekonanie, nie podważane publicznie, że człowiek nowoczesny powinien być zwolennikiem liberalizmu. Jednakże nie wyjaśnia się, że są rozmaite odmiany tego stanowiska. Nie wyjaśnia się również tego, że nie zachodzi związek konieczny między różnymi odmianami liberalizmu. Nie jest prawdą, że zalecany liberalizm ekonomiczny automatycznie prowadzi do liberalizmu światopoglądowego. Liberalizm obyczajowy, światopoglądowy, czy polityczny może godzić się harmonijnie z dominacją własności państwowej lub spółdzielczej.

Powszechna prywatyzacja i reprivatyzacja doprowadziły w Polsce do największego – spośród państw Unii – rozwarstwienia materialnego społeczeństwa. Niepokojąco powiększają się u nas obszary biedy i nędzy. Jednocześnie wzrasta liczba bardzo bogatych Polaków. Jest oczywiste, że bogacenie się jednych odbywa się kosztem narastającej biedy innych.

Już Arystoteles zdawał sobie sprawę z tego, że warunkiem demokracji jest występowanie w państwie bardzo dużej liczbie grupy średniozamożnych obywateli. W przeciwnym przypadku demokracja staje się zwyrodniała, ponieważ równość obywateli pozostaje jedynie deklaratywna, formalnoprawna.

Warunkiem demokracji w myśl dzisiejszych teorii jest ukształtowanie się w państwie społeczeństwa obywatelskiego. Przemilcza się u nas, pisząc o rozmaitych właściwościach społeczeństwa obywatelskiego, że jedną z jego właściwości ma być pluralizm światopoglądowy oraz wolność wyrażająca się także w swobodnym funkcjonowaniu rozmaitych teorii naukowych. Tymczasem w ekonomii dominuje niepodzielnie w Polsce, przeniesiony z Zachodu, pogląd superekonomisty – Leszka Balcerowicza.

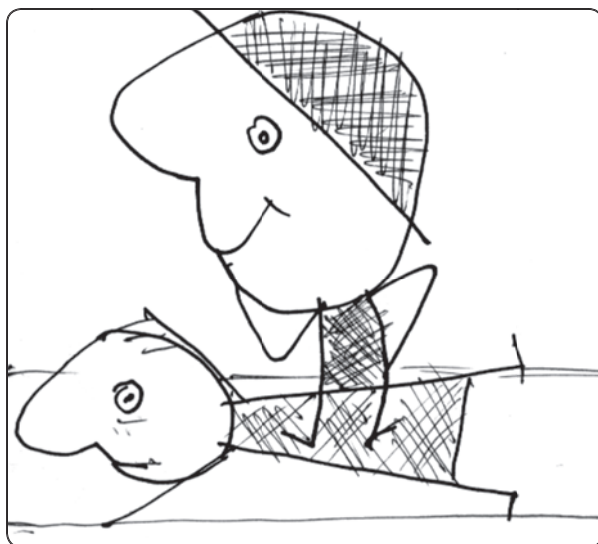
W kraju nie tyle demokratycznym co katolickim jak Polska, zaskakujący jest brak szacunku dla słynnej encykliki papieża Jana XXIII „Pacem in terris”. Papież ten jednoznacznie stwierdzał, że z prawa naturalnego, na gruncie którego stoi Kościół, wynika prawo każdego człowieka do korzystania z dóbr materialnych. Zajmuje więc stanowisko odmienne niż Tomasz z Akwinu, który twierdził, że w własność prywatna wynika z prawa naturalnego jako jedyna słuszna postać własności. Jan XXIII wyjaśnia, że określona forma własności, a więc państwowa, prywatna, spółdzielcza – są rezultatem bliższego określenia przez stanowione prawo owego prawa do korzystania z własności w ogóle. Która forma własności ma dominować, o tym decyduje określone państwo w danym czasie, biorąc pod uwagę dobro wspólne.

Przypomnę, że w Polsce jeszcze kilkadziesiąt lat temu działały na przykład mazurek, czyli kaszubskie spółdzielnie rybackie. Wytwarzały one poczucie wspólnoty. Na przykład dzielono się złowionymi rybami z tymi rybakami, którym nie powiódł się połów. Troszczono się o byt materialny wdów, zaś alkoholików wyrzucano poza obręb wspólnoty. Wychowawcze oddziaływanie własności spółdzielczej jest oczywiste. Mamy znakomite polskie tradycje i teorie międzywojenne, by powołać jako przykład Abramowskiego, mistrza Żeromskiego.

Zorganizowana przeze mnie 6 grudnia 2010 r. konferencja w Domu Literatury na temat „Liberalizm ekonomiczny z punktu widzenia społeczeństwa obywatelskiego” (jej współorganizatorami byli: Wyższa Szkoła Menedżerska w Warszawie, Oddział Europejskiego Stowarzyszenia Kultury w Polsce, Fundacja im. Róży Luksemburg) wynikała z głębokiego niepokoju spowodowanego nasilającymi się hasłami rywalizacji, konkurencji oraz wskazywania bogacenia się jako sensu ludzkiego życia. Liberalizm ekonomiczny doprowadził do rywalizacji i agresji oraz interesowności w stosunkach międzyludzkich. Następuje zanik przejawów wspólnotowości. Trudno bowiem mianem oczekiwanej wspólnoty określać wspólnotę interesów osób pracujących w określonej instytucji. Wspólnota interesów jakiegoś przedsiębiorstwa lub concernu dotyczy jedynie sfery materialnej, która nas nie ucłowiecza, aczkolwiek ma znaczenie dla utrzymania się przy życiu.

W konferencji o której wspomniałam wzięli udział przedstawiciele rozmaitych dziedzin nauki, jak również pisarze. Odwołując się do dzieł literackich pierwszej połowy XX wieku wykazali, że polska dzisiejsza rzeczywistość doprowadziła do analogicznych negatywnych przejawów, które głęboko niepokoiły twórców tamtych lat. Profesor Jerzy Muszyński analizował wartość demokracji, która z reguły bywa traktowana jako ustrój bezdyskusyjnie słuszny. Traktat z Lizbony, o którym mówił w swoim referacie dr Ryszard Piotrowski umacnia liberalizm ekonomiczny. Natomiast nie ma w tym Traktacie analogicznych gwarancji prawnych dla liberalizmu politycznego, obyczajowego i światopoglądowego. Prezes Stowarzyszenia Neutrum, Czesław Janik, nie pierwszy raz podkreślał, że brakuje gwarancji prawnych dla wolności światopoglądowej ateistów, agnostyków oraz osób bezwyznaniowych. Kościoły mniejszościowe oraz osoby wyznań niechrześcijańskich nie cieszą się takimi uprawnieniami, które są przyznane Kościołowi katolickiemu.

Liberalizm ekonomiczny odcisnął się negatywnie na psychice obywateli o czym mówiła w swoim wystąpieniu dr Małgorzata Derc wskazując na kryzys osobowości powodowany rywalizacją, konkurencją i bezideowością. Podobny pogląd wyraził



Rys. Jan Stępień

dr Jacek Breczko z Akademii Medycznej. Pisząca te słowa wyraziła niepokój związany z amerykańską oraz zajmowaniem przez socjologię miejsca, które w czasach PRL zajmowała filozofia. Nawet odrodzona w 1989 roku filozofia prawa – jedyny dział filozofii zlikwidowany administracyjnie po II wojnie światowej – została zmarginalizowana w polskiej rzeczywistości neoliberalnej na rzecz teorii prawa. Rugowanie z edukacji filozofii pozwala usnąć rozum, manipulowany przez media. Optymizmem napełniło wystąpienie profesora Lucjana Turowskiego, przyjaciela Uniwersytetów Ludowych, na które nie przeznaczają się obecnie należycie funduszy. Referat profesora dotyczył twórczego znaczenia dla człowieka ruchu spółdzielczości.

Eugeniusz KABATC

Popołudnia filozofów

Patetycznie, lirycznie...

- Miałem dziki sen – powiedział Przyjaciół, przysiadając niepewnie na taborecie w ogródku przed domem Profesora. Rozglądał się wokół jakby z wewnętrznym niepokojem, choć cisza peryferii łagodziła daleki zgiełk miasta i jego namiętności..

- Dziki? – zapytał Profesor z pewnym niedowierzaniem.

Przyjaciół zdecydowanie kiwnął głową. Stara jabłoń kładła na nich spokojny cień popołudnia, kwiaty czujnie podnosiły znużone upałem łebki.

- To ci dopiero – westchnął Profesor z cichym współczuciem. – Dzikość definiujemy jako utratę antropologicznej równowagi – dodał po swoim, szukając wątku zagadnienia.

- Właśnie – przyznał Przyjaciół. – Bo śniło mi się, że staję na czele buntu przeciwko starości.

Profesor uśmiechnął się z ulgą.

- Pogratulować – powiedział, podnosząc się ze swego taboretu. – Co ci podać?

- Kubek zimnej wody na mój głupi łeb! – zawołał Przyjaciół niecierpliwie. – Ale posłuchaj najpierw...

Zapatrzył się w siebie, po czym dość gładko opowiedział, jak to we śnie wiódł tabuny młodych ludzi na Pałac Seniorów. Młodzież, uzbrojona w trąby i bomby, hałasowała nieludzko niczym wuwuzele na mundialu, ale gdy dotarli na miejsce, Pałac okazał się pusty. Portier w rozległym atrium, jedyny obecny w tym wspaniałym gmachu, poinformował przybyłych, składających bomby pod wysoką kopułą i dopytujących się o starców, że – jak pamięta – nikogo tu nigdy nie było, a Pałac Seniorów był zawsze symbolem idei. „Jakich idei?”, zapytał portiera, który był podobny do Profesora, ale odpowiedzi nie było... Nie było też portiera, a sen rozsnuł się w porannych mgłach...

- Ponawiasz to pytanie?

Profesor dał się wciągnąć w nieporządek senny Przyjaciół i pomyślał o idei starości z pewnym dyskomfortem. Są pytania, które wciąż się powtarza, a na starość gromadzą się one w nas i stają się wręcz natarczywe. Także w naszych snach... Nie żyje się snem, ale uczestniczy on jakoś w życiu, uzupełnia je, narusza jego schematy; prowokuje do myśli niezwykłych, ukrywa je w meandrach tajemnych obrazów, w sekretach niedopowiedzeń, zerwanych wątków. Co ma z tego rzeczywistość? Ma, a jakże, uzyskuje swoją wersję magiczną. Jak historia w mitach, jak rozum w wierze.

- Dom idei nigdy nie jest pusty – powiedział Profesor, usiłując nadać swemu głosowi ton stanowczości. – Nie znajdują jej tam tylko ci, co nie mają dość wyobraźni, by sięgnąć dalej niż oferuje im cezura ich wieku.

- Czy chcesz powiedzieć, że młodzi nie mają wyobraźni? - zaniepokoił się Przyjaciel.

- Z natury rzeczy są pozbawieni wyobraźni biologicznej - odrzekł Profesor powściągliwie. Lecz zaraz odważnie dodał: - Ontologicznej, jak dzisiaj by się powiedziało, bez czego romantyzm pozostaje buntem serca i zmysłów, słowem poezją jedynie.

- Mądrości w tym żadnej? - dopytywał się Przyjaciel, czując się nieswojo na czele swojego onirycznego spontanu. - Młodzież dziś szybko dojrzewa.

- Do czego? To bardzo trudny proces - żyć - zauważył Profesor. - A żyć dojrzewając? Nikt nie wie co to naprawdę znaczy. Czy to już jest ta równowaga ducha, by móc decydować nie tylko o sobie, ale i o innych? Bo to akurat osiąga się o wiele później.

- Na starość? - chciał zrozumieć Przyjaciel.

Profesor zastanowił się. W pewnym wieku wszystko ze wszystkim się kojarzy.

- Starość nie jedno ma imię - powiedział jeszcze zdecydowanie, ale już z mniejszym przekonaniem zaczął snuć opowieść o fenomenie powagi i mądrości, znowu odnajdywanym jako wspólnota zwyczajnej myśli humanistycznej, której terenem jest uniwersalizm i odpowiedzialność. - Gdy starzy wolniej się starzeją - mówił - Pałac Seniorów z twojego „dzikiego snu”, Przyjacielu, może się rychło zaludnić, by stać się Wielką Radą Mędrców, dla których najście młodych barbarzyńców byłoby zagrożeniem jedynie wirtualnym.

- Oni mieli bomby - przypomniał mu Przyjaciel.

- Bomby poszłyby do lamusa - śnił teraz na jawie Profesor. - Zostałyby tylko trąby marzeń, które by starcom nie pozwoliły na przedwczesną sjęstę i tacy koncertmistrze jak ty, którzy by obok decybeli i bajtów znaleźli dla nich miejsce na własne głosy.

Przyjaciel ocknął się ze swej niespokojnej zadumy i rozejrzał się za kieliszkami.

- Zostawiłem w twojej lodówce szampan - oznajmił z nagłym ożywieniem.

- N mnożyło się nam latoś osiemdziesięciolatków, wypijmy na ich cześć, za ich zdrowie i przyszłość z nimi naszą. To dzielni ludzie, w sztuce literaturze i wiedzy honor nam przynoszący.

- Nie wszyscy - wtrącił ostrożnie Profesor, czując w toaście Przyjaciela narastający patos.

- Wystarczy na twoją radę mędrców! Na tych, co niejedno przeżyli i umieliby, poproszeni, ugasić kolejny polityczny pożar w naszym polskim domu. A właśnie się zaczyna...

Kiedy Profesor przyniósł schłodzony szampan, Przyjaciel dokończył swoją myśl wyciągając z kieszeni zapisaną kartkę papieru. - Posłuchaj... „Bo gdy się ma osiemdziesiąt lat /osiemdziesiąt i jeszcze trochę/dopiero rozumie się świat/ tę straszną, wspaniałą wiochę!”

Profesor roześmiał się swobodnie, a szampański korek wdzięcznie wyskoczył z butelki.

Lamberto Pignotti z „Minibajek”

Dziewczynka w krainie czarów

Była kiedyś dziewczynka o bujnej fantazji, która - jak Alicja - śniąc z otwartymi oczami, znalazła się w innym świecie, gdzie wszystko wyglądało dziwnie, a ludzie zachowywali się nie tak jak zwykle. Wrażenia były wręcz nierzeczywiste, ale ludzie tkwiący w rzeczywistości po uszy, odbierali je z sympatią. Nie wszystko w tym bajecznym pomieszeniu układało się pomyślnie, nie wszyscy ulegali pochlebstwom mitów utopijnych, które w konfrontacji z przemianami społecznymi na świecie wydawał y się jednak wręcz profetyczne. Toteż dowodem na to jest fakt, że dziewczynka i jej przyjaciele żyli w tym świecie długo i szczęśliwie.

Poezja nie tylko okolicznościowa

Wpadł mi niedawno w ręce cieniutki, kilkudziesięciostronicowy tomik poetycki, zatytułowany *15 poetów w Polsce*. Wydano go w Ochli – osiedlu pod Zieloną Górą. Wydanie jest nieznanе chyba nikomu (pewnie z wyjątkiem Andrzeja K. Wańkiewicza, który o poezji, poetach i ruchu poetyckim wie wszystko), zredagował zaś Eugeniusz Kurzawa, poeta i niestrudzony animator kultury, prezes zielonogórskiego oddziału ZLP.

Jak stwierdza w króciutkim posłowniu, zwrócił się był do kilkunastu „uznanych poetów polskich” z prośbą o napisanie „wiersza, który zmieściłby się w bardzo ogólnym haśle «Polska». Nie odmówił nikt; tylko w imieniu Tadeusza Różewicza odpowiedział Jan Stolarczyk, przepraszając, że poeta ze względu na stan zdrowia, nie może spełnić tej prośby.

Tomik jest wydany bardzo starannie, ma elegancką okładkę i równie elegancką, dyskretną oprawę graficzną, staranny druk. Wyróżnia go to zdecydowanie z zalewającej nas zewsząd użytkowej lub też (co jeszcze paskudniejsze) okolicznościowej tandety edytorskiej. I jest właściwie publikacją „podziemną”, wypuszczoną w świat w niewielkim nakładzie.

I zawiera przesłanie niezmiernie interesujące i ważne: jest właściwie spontanicznie sporządzonym, „żywiolowym” raportem o stanie ducha grona wyróżniających się indywidualności poetyckich, o ich samopoczuciu w Polsce dzisiejszej, a niekiedy dawniejszej. Przejęły mnie w tym zbioru: powroty w przeszłość –

*Była wojna. Miałem pięć lat i czytałem Baśnie braci Grimm.
Do tej pory boję się wojny i niemieckich baśni.
Elektrycznym pociągiem podmiejskim jeździłem do Radości.
Była wojna i nazwa tej miejscowości brzmiała nieco dziwnie.
W dodatku nigdzie nie widziałem stacji Miłość, Wiara ani Nadzieja.
Ale może były dalej w kierunku Tłuszcza i Wołomina.
Nigdy tam nie dojechałem.
Nigdy potem nie byłem w Radości.*

(Marek Wawrzkiwicz, „Dziedzictwo”)

– jak i marzenia o przyszłości:

*Śniła mi się moja Ojczyzna.
Kraj bez krzykliwych i bezmyślnych gazet.
Widziałem tysiące uczestników Parady Równości:
w zgodnym szeregu szli prezydenci miast, homoseksualiści, kobiety w ciąży, chorzy
wypuszczeni na tę okazję ze szpitali.
Śnili mi się nasi ojcowie, którzy zmartwychwstali, by dołączyć do świętujących...*

(Zbigniew Joachimiak, „Miałem sen”)

Ale najsilniej przejęły mnie „wspomnienia z teraźniejszości” (by sięgnąć po niezapomnianą formułę Kazimierz Brandysa, skądinąd prozaika!). Może więc choćby dwie – małe, wrywkowe – próbki:

*Kraj ten nie pieści moich wad ni zalet
nie nagabuje, czy jestem mu wierną
stara się tylko nad podziw wytrwale
bym konkurencją nie była dla miernot
mogę do władzy kogo bądź z hołoty
wybrać... lub nie [...]
ale ważniejsze, bym szła do roboty...*

(Anna Nagórska, „Pospolita”).

Tu dawno przestali wierzyć, że prawda zwycięży
ten tamten on już tak nie myślą
Uświęceni tacy i każdy z osobna
zwątpionym krokiem podąża dokąd [...]

Tu dawno przestali ufać w słowo dane
ten tamten on omija zwycięzców
bo dla niego „on albo ja” to tylko „on”
wspólnej nam ziemi
dla wszystkich nie starcza
Za ciasno domu za ciasno chleba
Za ciasne gardło

(Elżbieta Musiał, „Krótka rapsodia ulicy”)

Mógłbym tak przytaczać cały ten tomik, tłumacząc się, że nie będzie nikomu łatwo dostępny, ale przecież *Res Humana* nie zamieszcza na swych łamach poezji nader często. Może więc z tej szczególnej okazji usprawiedliwione będzie to zaprezentowanie jej czytelnikom choćby skrawków tego niepowszedniego, bo poetyckiego świadectwa wystawionego rzeczywistości, tym bardziej powszedniej, w im bardziej niezwykłej (bo między-wyborczej) chwili.

A skorośmy już przy poezji, warto odnotować inną jeszcze, godną uwagi publikację. Jest ona właściwie zwieńczeniem bogatej, wielorakiej i misyjnej w istocie działalności nieodżałowanej pamięci Wojciecha Siemiona na rzecz poezji. Była to nie tylko działalność popularyzatorska wybitnego aktora, obdarzonego niepospolitym talentem recytatorskim, ale realizowany konsekwentnie przez kilka dziesięcioleci program zgłębiania istoty słowa poetyckiego oraz przesłania zawartego w twórczości wielu poetów z różnych epok, warstw społecznych i poziomów artystycznych, od poezji ludowej po szczyty poetyckiego kunsztu. Był też Siemion wytrawnym i inspirującym pedagogiem, nie tylko zresztą szkolącym nową kadrę aktorską, ale instruującym całe zastępy recytatorów-amatorów, często samorodnych talentów w dziedzinie przekazywania słuchaczom sztuki słowa poetyckiego. Dodać do tego trzeba, iż przez pryzmat wykonawczej odkrywał Siemion niejednokrotnie nieuświadomiane sobie przez odbiorców pokłady poetyckiej myśli i pasji w utworach – głównie klasycznych – które postrzegano rutynowo, powierzchownie, czasem wręcz mylnie.

Wiosną zeszłego roku miał Siemion wystąpić z własną reinterpretacją wierszy Jarosława Iwaszkiewicza, w czasie Dni Białobrzegów, miasta położonego nad Pilicą; poetę tego kojarzono zwykle z Ukrainą z jednej, a Sandomierszczyzną i regionem położonym nad Utratą z drugiej strony (a także z Petersburgiem – i Włochami!). Nie mówię o ładunku nonkonformizmu filozoficznego i moralnego, który by z pewnością Siemion wydobyl ze zdyscyplinowanych artystycznie wierszy autora *Martwej pogody*; mam na myśli raczej całą ich wielowarstwową refleksyjność. Niestety, śmierć wielkiego aktora uniemożliwiła uczestnikom Dni Białobrzegów odebranie tego pokazu twórczego odczytywania utworów tego poety, bezmyślnie zaklasyfikowanych przez jego oponentów jako „poezja dworska”.

Teraz zaś, w kilka miesięcy po odejściu Wojciecha Siemiona ze sceny jego prawdziwie ogromnego teatru, trafia do nas pięknie wydana – staraniem Muzeum Jadwigi i Wojciecha Siemionów w Petrykozach – albumowa edycja wierszy Doroty Janowskiej i Małgorzaty Żureckiej *In & Out (do siebie i od siebie)*, rozsnutych na szkielet konstrukcyjnym serii zdjęć Stanisława Materniaka „Wędrówki po Alasce 2008”. Publikacja ta zrodziła się z inspiracji Wojciecha Siemiona i uformowała się jeszcze pod jego okiem – choć ukazania się tego wyjątkowej urody tomu jego Patron już nie doczekał.

Rzecz wzięła początek w roku 2009, kiedy to Barbara Balicka zorganizowała w ramach odbywającej się w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Rzeszowie imprezy pn. „Cztery

Dokończenie na IV stronie okładki

WŚRÓD KSIĄŻEK

PRL bez uprzedzeń, redakcja naukowa, Jakub MAJMUREK i Piotr SZUMLEWICZ, Biblioteka BEZ DOGMATU, Wydawnictwo Książka i Prasa, Warszawa 2010, s. 226 + 2 nlb.

Roztropnie o latach PRL

Mówić nawet w wyważony sposób o czasach PRL to wywoływać w wielu wpływowych dziś w Polsce środowiskach odruch niechęci, a bywa, że i pukania się w czoło. Tak, PRL jest na cenzurowanym, a jest przy tym gorzkim paradoksem to, że im bardziej czas oddala nas od lat Polski Ludowej, tym bardziej ta Polska nabiera diabolicznych cech.

To nie jest wynikiem owej „grubej kreski”, mylnie zresztą – wbrew jej autorowi – interpretowanej. To rezultat tyle świadomej i planowej, co fałszywej próby delegitymizacji tamtego czasu, aby legitymizację zyskał czas po 1989 roku. Jest w tym zabiegu, przyznajmy, jakaś logika, ale jest to logika walki zwycięzców, którzy nie mają zdolności porozumienia w imię wspólnych racji z tymi, którzy pokojowo złożyli broń. Z tej logiki walki narodziła się wielka i swoista narracja antyPRL-owska, pełne natchnienia tą logiką prace twórców i gorliwych propagatorów „nowej polityki historycznej”, skupionych zwłaszcza w Instytucie Pamięci Narodowej.

Tej „narracji” wyzwanie rzuca dwóch młodej generacji intelektualistów lewicy, Jakub MAJMUREK i Piotr SZUMLEWICZ, i ich praca, która tej „narracji” przeciwstawia taką oto myśl:” U podstaw tej wizji (wizji <czarnej dziury> czasów PRL – przyp. AB) stoi bardzo prosty schemat, przeciwstawiający rządzący Polski Ludowej i społeczeństwo. Wśród polskich elit przeważa całkowicie błędna hipoteza, że realny socjalizm upadł, ponieważ

był narzuconym z zewnątrz, obcym polskiemu narodowi sowieckim porządkiem, a Solidarność przyszła jako ruch patriotyczno-moralnej odnowy. W rzeczywistości protesty pracownicze pojawiały się nie z przyczyn moralnych czy religijnych, a głównie ekonomicznych i nie w imię wyzwolenia ojczyzny, lecz wyższych płac i większej partycypacji robotników w zarządzaniu przedsiębiorstwami państwowymi”.

W ten sposób sformułowana myśl główna redaktorów zbioru ma zarazem ambicję przekroczenia trzech, obecnie dominujących w dyskursie publicznym, interpretacji czy narracji tego okresu historii Polski. Pierwsza z nich to: „narracja postsolidarnościowej prawicy, odrzucająca PRL w całości jako okres <sowieckiej okupacji>”; narracja druga ma być reakcją na tą pierwszą, ma mieć „charakter sentymentalny”, ma „skupiać uwagę na społeczno-ekonomicznych sukcesach minionego ustroju” oraz „na obronie biografii osób w różny sposób zaangażowanych w system”; trzecia wreszcie opowieść o tamtych latach ma towarzyszyć drugiej, choć ją odwraca, bo sprowadza PRL do „sumy groteskowych ... sentymentalno-nostalgicznych wycinków tamtej rzeczywistości utrwalo-nych w języku czy materialnych przedmiotach pozostawionych przez epokę”.

Kolejne teksty zbioru: poświęcone gospodarce PRL (Tomasz CIBOROWSKI, Grzegorz KONAT), polityce społecznej (Piotr SZUMLEWICZ), polityce historycznej (Bartosz MACHALICA), stosunkom pomiędzy ówczesnym państwem a Kościołem (Mariusz AGNOSIEWICZ), czy sytuacji kobiet i różnych mniejszości w tamtym czasie są właśnie próbą przekroczenia tych trzech różnych interpretacji czy opisów lat PRL. Powiedzmy od razu: próbą wielce udaną. Jej najistotniejszą cechą jest ta, że autorzy nie ulegli pokusie



owych interpretacji, lecz wybrali drogę rozważnego wyważania racji stron, uwalniając się od prezentyzmu, jak też podejmując nieco głębszą ogólniejszą analizę tamtego czasu, jak i jego różnych aspektów. W tej analizie jest pochwała niemałego dorobku lat PRL, ale jest też wskazanie na wiele wad, na wiele karygodnych nieprawości, które często przesłaniają te pierwsze.

Studia zebrane w zbiorze nie są pracami osób bezstronnych. Są pracami ludzi polskiej lewicy i mają lewicy tej pomóc w szukaniu dróg tożsamości w złożonych uwarunkowaniach współczesnych. Tak należy rozumieć słowa redaktorów zbioru, gdy piszą: „Atakując byłe systemy komunistyczne, prawica nie walczy o ocenę przeszłości, ale o władzę dziś i w przyszłości. Delegalizując sierp i młot, pragnie ona jednocześnie zepchnąć na margines wszelkie idee (i głoszące je ruchy) poszukujące całościowych, systemowych alternatyw dla kapitalizmu”.

I choć PRL nie była, zdaniem autorów zbioru, ową „całościową alternatywą dla kapitalizmu”, to trzeba odkłamać PRL, i w imię prawdy i w trosce o politykę lewicy w przyszłości. Z tą myślą podjęty tu wysiłek zasługuje na szczery szacunek.

Andrzej BIERNACKI

Niezbędnik ateisty. Rozmowy Piotra SZUMLEWICZA, Wydawnictwo CZARNA OWCA, Warszawa 2010, s. 319.

Humanizm współczesnego ateizmu

Nie ukrywam, że z oporami zabierałem się do lektury tej książki. Od momentu bowiem osiągnięcia pewnej dojrzałości mój krytyczny stosunek do religii i Kościoła traktowałem zarazem jako sprawę osobistą i wcale nie zachęcającą do tego, aby czynić z mojego ateizmu jakiś szczególnie znak własnej tożsamości. Do pewnego stopnia tego samego oczekiwałem od osób wierzących.

Właściwie tak sędzę i teraz, choć zdaję sobie sprawę z siły faktów współczesnych, z roli instytucji religijnych, które od samego początku pilnują, aby religia i Kościół jaśniały światłem najjaśniejszym, aby były całym światłem i światem człowieka, aby to światło ogarniało go bez reszty, przenikało jego sumienie, serce i rozum i aby dawał temu publiczne świadectwo. Jest paradoksem, że wezwania do manifestowania wiary potęgują się dziś w sytuacji, w której aspiracje instytucje wiary są – mówiąc najogólniej – wysoce wygórowane, że to najjaśniejsze światło okazuje się coraz bardziej światłem księżyca, coraz mniej znaczącym w realnym życiu współczesnych generacji, także w Polsce.

Te wszystkie realia dyktują potrzebę poważnego namysłu nad kwestią wiary i niewiary w życiu prywatnym i publicznym, nad różnymi postaciami ich przejawiania się, ich dynamiką i przemianami. Rozmowy Piotra SZUMLEWICZA zebrane w tym, do pewnego stopnia unikalnym tomie, są w tej perspektywie ważną inspiracją do takiego namysłu. A ich wagę powiększa ranga osób zaproszonych do rozmowy o ateizmie i – co najważniejsze – ich mądre refleksje, którymi dzielą się z nami w sposób tyle odważny, co godny szacunku.

Tak oto wyłania się przed nami rozległa i zróżnicowana panorama doświadczenia polskiego ateizmu: dociekanie jego istoty i współczesnych przemian, jego miejsca w osobistym doświadczeniu rozmówców autora temu czy refleksja nad wciąż pokutującym krytycyzmem wobec ateizmu wielu wierzących, nie mówiąc o instytucji Kościoła. Teksty Magdaleny ŚRODY i autora tomu, poprzedzające kilkanaście zapisów rozmów, są



związłą charakterystyką tej panoramy, uwzględniającej jej różne fragmenty, z których się składa i są do pewnego stopnia próbą syntezy tego, co na kolejnych stronach dowiadujemy się już bezpośrednio z ust rozmówców autora tomu.

A dowiadujemy się wielu rzeczy istotnych, które otwierają pytania: czym jest współczesny ateizm, o co chodzi ateistom w sferze publicznej, co zachęca ich do działania? Zdaniem Magdaleny Środy: „Ateizm jest postacią nie tyle przeciw religii, ile przede wszystkim postawą za równością, racjonalizacją postaw, neutralnością państwa, myśleniem i wiedzą w dziedzinie etyki, kształtowanie świeckiej obyczajowości (s. 15). Autorka myśl tę w dalszych wywodach rozwija i konkluduje uwagą o istnieniu dziś wielu postaci ateizmu oraz pluralizmie ich przejawiania się w życiu publicznym. To ważne spostrzeżenie podejmuje i dopełnia Paweł Szumlewicz, gdy stwierdza: „Ateizm to sprzeciw wobec zawłaszczania ludzkich uczuć, marzeń i przymysłów egzystencjalnych przez religię, odrzucenie przekonania, że z natury jesteśmy istotami religijnymi”. Ale ateizm, czytamy dalej, „będąc podejrzliwy wobec religijnych oczywistości i gotowych schematów myślenia, jest z drugiej strony wyrazem troski o doczesność, o żyjących ludzi; jest etyką doczesności” (s. 27).

Z tej perspektywy ateizm ukazuje swój wymiar humanistyczny, choć te wymiary są złożone. W jego złożoność wprowadza Barbara STANOSZ, wybitna filozof i logik: „Humanizm w nowoczesnym znaczeniu tego słowa implikuje ateizm, zakłada bowiem naukowy światopogląd i postuluje uwolnienie człowieka z więzów wszelkich przesądów, w tym także przesądów religijnych. Ale w drugą stronę relacja ta nie zachodzi: ateizm nie implikuje humanizmu. Ateizm polega wyłącznie na odrzuceniu tezy teizmu w każdej z jej istniejących (lub dających się pomyśleć) postaci. Poza tym ateista może być na przykład wyznawcą astrologii... wierzyć wróżbitom czy w telepatię itd. Humanizm wyklucza takie przekonania... przesądza wiele kwestii ze sfery wartości, przede wszystkim kwestię właściwej postawy wobec drugiego człowieka postuluje równość wszystkich ludzi, ich wolność w granicach nieszkodzenia innym, wzajemną tolerancję i gotowość do udzielania pomocy. Ateizm nie ma konsekwencji tego rodzaju” – stwierdza Barbara Stanosz (s. 217).

To ważna uwaga, inspirująca zarazem do dyskusji. Dotykamy w tym miejscu ważnej kwestii statusu aksjologicznego ateizmu, miejsca w nim kategorii „negacji”. Wielu autorów, np. Leszek Kołakowski, sądzili, że z negacji wynika coś pozytywnego, choć nie wprost, lecz pośrednio. Ta zasada odnosi się także do ateizmu: jego, koniec końców, dążenia do wyzwolenia człowieka z wielorakich krepujących go więzów, do jego życia w godności i zgodności z własnym sumieniem.

Ale życie w godności nie jest, oczywiście, uwolnione od trudu przekraczania tego, co stwarza współczesny świat. Ciekawe uwagi na ten temat wypowiada Zygmunt BAUMAN, znakomity rozmówca autora tego tomu. „Z nastaniem nowoczesności – czytamy – korzenie religijnego impulsu tkwiące w glebie ludzkiej niesamowystarczalności miast kurczyć się, spęczniały i nabrały wigoru od obfitości sztucznie wytworzonych pokarmów” (s. 242). A na pytanie czy możliwe jest społeczeństwo bez religii, taką oto czytamy odpowiedź: „Komunikaty o zgonie Boga są, mówiąc ogólnie, cokolwiek przesadne. Bóg niechybnie umrze kiedyś. Ale razem z ludzkością” (s. 250).

Ta apokaliptyczna wizja ludzkości zarysowana przez współtwórcę koncepcji świata ponowoczesnego, zapewne nie jest wizją myśli ateistycznej i działalności ateistów, bo wówczas straciłoby sens ich istnienie. A chcą istnieć i chcą działać, tym bardziej, że nie mogą narzekać na brak pracy. Oto jak np. zapobiec procesowi postępującej dehumanizacji wielu rozległych obszarów współczesnego życia, jak przeciwstawić się neoliberalnym koncepcjom rozwoju społecznego, jak uwalniać ludzki świat od wciąż wielu przesądów, iluzji, nieracjonalności i nietolerancji, jak bronić neutralności światopoglądowej państwa demokratycznego wobec nacisku środowisk, którym marzy się państwo wyznaniowe. To krąg problemów, o których na kartach tej książki mówią z troską m.in. Wanda NOWICKA, Grzegorz NAPIERALSKI czy nieodżałowany Krzysztof Teodor TOEPLITZ, osoby znane w życiu publicznym, a zarazem osoby, dla których przekonania światopoglądowe

były lub pozostają ważnym źródłem inspiracji ku dziełom zwróconym na świat ludzkiego życia.

Ta myśl towarzyszy autorom wszystkim pozostałym tekstów, które złożyły się na ten interesujący tom, istotnie wzbogacający polski dyskurs, jakże wciąż ubogi i jakże wobec tego domagający się myśli ożywiających, otwartych na autentyczne wyzwania naszego czasu.

Zdzisław SŁOWIK

PS. Jeśli miałbym coś jeszcze dodać po lekturze tej książki, to na pewno dałbym jej inny tytuł i lepszą zaproponował okładkę. Z.S.

Chopin w oczach Rosjan. Antologia opracowana przez Grzegorza Wiśniewskiego, staraniem Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina i Państwowego Instytutu Wydawniczego, Warszawa 2010.

Chopin w Rosji

„Przecież on do Rosji nie pojedzie!”, napisała do matki rosyjska uczennica kompozytora.

Dla tego wszystkiego, o co nam dzisiaj chodzi, nie musiał. Wprawdzie było dobrym, promocyjnym

zwyczajem artystów europejskich udawać się do stolic i innych miast imperium, by zaspokajać swoje potrzeby choćby sławy, to Chopin nie musiał, gdyż znalazł drogę na rosyjskie estrady swoją niezwykłą sztuką, przenoszoną z Paryża do Petersburga przez jej odkrywców i entuzjastów. I nie czekał długo, zachwycono się nim jeszcze za życia, [co, jak wiadomo, nie zawsze w sztuce się zdarza], a na terenie Rosji rozslawili go niemal od razu zarówno obcy z – Lisztem na czele – jak i swoi akolici, a wśród nich, bodaj najważniejszy, Michał Glinka. Słowem, pewien rodzaj odkrywczej euforii ogarnęła tyluż wykonawców, co kompozytorów...

Wielką nam przyjemność sprawił Grzegorz Wiśniewski, ten znakomity znawca polsko-rosyjskich spraw w kulturze, obdarzając nas antologią *Fryderyk Chopin w oczach Rosjan*, wydaną dwujęzycznie przez Narodowy Instytut Fryderyka Chopina i Państwowy Instytut Wydawniczy. Okazja jest dobra – dwóchsetlecie urodzin kompozytora, inauguracja nowoczesnego Muzeum poświęconego mu w Warszawie, Międzynarodowy Konkurs jego imienia, wygrany przez Rosjanek – toteż pojawia się nadzieja, że nastrój pogody, jaki przynosi muzyka Chopina – historycznie i współcześnie – przywracając ducha pojednania narodów przez wspólne umiłowanie tej wielkiej sztuki w kulturze świata, przetrwa.

Książka jest antologią tekstów [cytatów] autorów rosyjskich, odnotowanych w swoim czasie w różnych publikacjach, a chronologicznie przedstawionych przez Grzegorza Wiśniewskiego, które je „wybrał, przełożył i wstępem opatrzył”. Wstęp jest nośnikiem treści sumujących, ale otwiera przy tym ogrody myśli dotąd nieznanych, wśród których trwałość pamięci o naszym kompozytorze jest aż zaskakująca. Wiele czynników złożyło się na to, o czym pisze autor antologii i co czytamy w interesująco, starannie skomponowanych tekstach. Postrzegana silna obecność polskości w twórczej myśli muzycznej Chopina mogłaby zniechęcić Rosjan do zajmowania się „nacionalistą” buntującego się kraju, tymczasem to ona przybliżyła im tę muzykę, pełną ludowych treści i słowiańskich tonów. Przybliżyła, powiedziałbym, dwojako, bo zarówno przez sympatię do „Polaków w niewoli”, jak i przez zrozumienie narodowego charakteru muzycznych wątków, których wartość, zwłaszcza wśród kompozytorów, została zaznaczona własnym narodowym i ludowym wkładem. „W jego melodiach, tych czysto polskich i tych innych, słyszymy wiele tego, co rodzime, rosyjskie, co występuje w naszych ludowych pieśniach i w naszej muzyce artystycznej, szybko rozwijającej się od czasów Glinki.” Tak zanotował Grigorij Timofiejew już na przełomie poprzednich wieków.

Niemal wszyscy poczuli się „zarażeni” Chopinem. Niektórzy bronili się przed tym [Czajkowski, Skriabin], usiłując zlekceważyć nawet własne upodobania. Czajkowski

mówi o tym nieco dwuznacznie: „Ostatnimi Mohikaninami złotego wieku muzyki byli Mandelssohn, Chopin, Schumann, Glinka, u których już wszelako daje znać przejście od **wielkiego i pięknego** ku **smakowitemu**”. Skriabin określił swoje wątpliwości bardziej zdecydowanie: „Chopin był kolosalnie muzykalny(...) i z jego warunkami mógłby stać się największym kompozytorem świata, lecz niestety za tą muzykalnością nie szła stosowna do niej szerokość horyzontów umysłowych.” Lecz tenże Skriabin w oczach innych [np. Edisona Denisowa] uchodzi za *komponistę* szczególnie przeżywającego wpływ Chopina. Zresztą niemal wszyscy oni, ci sławni i mniej Rosjanie, zasłuchani w nowoczesną romantyczność polskiego kompozytora odnosili się do jego twórczości z głębokim uczuciem i najwyższym uznaniem. Od Rimskiego-Korsakowa przez sławy „moguczej kuczki”, po Szostakowicza i Weinberga. Ten pierwszy, w nastroju wewnętrznego poruszenia – zwierzał się w swojej *Kronice mojego życia artystycznego* – że skoro „polski element narodowy w utworach Chopina, które ubóstwiałem, zawsze wywoływał mój zachwyt”, to napisze całą operę na temat polski. Podobnie osobisty stosunek do tej więzi nostalgicznej polsko-szopenowskiej ujawnił Bałakiriew, który będąc z wizytą w Warszawie, udał się przede wszystkim do kościoła Świętego Krzyża, by stanąć przed sercem i popiersiem Chopina – i „wzruszyć się silnie”.

Ten Chopin z Warszawy i z Paryża budził w Rosjanach autentyczne uczucie życzliwości i uznania dla Polaków. Czasem, gdy odczytywali w jego nutach ból i cierpienie z powodu zniewolonej ojczyzny, również współczucie. Choć to też Słowianie – a motywy wspólnoty na tej fali zainteresowania sąsiadem, jego losem i prawdą pojawiał się w XIX w. bardzo często – różnią się od nas i tę odmienną, zbliżając się ku naszej kulturze i sztuce, chcą zrozumieć. Aleksander Borowski w swoim wspomnieniu z początku XX w. najpierw wyznaje, że w młodości, z awangardową grupą studentów konserwatorium petersburskiego [byli w niej i Prokofiew, i Skriabin] uważali muzykę Chopina „za przestarzałą, staromodną, pospolitą i ckliwą, to potem, słuchając Józefa Hofmana, „który grał Chopina z niezrównaną szczerością i prostotą”, zobaczył w kompozytorze nie „dumnego i wyniosłego Polaka, postukującego obcasami w polonezach i mazurkach, marzyciela ze wzrokiem zwróconym ku niebu w nokturnach, lecz na odwrót: u Hofmana Chopin jakby siedział obok nas, by zwierzyć się bez obłudy ze swych marzeń, nadziei, radości, strapiień.”

Wreszcie zaznaczał polskość tej postaci nadzwyczajnej pod każdym względem Antoni Rubinstein: „Był Polakiem i pisał muzykę subiektywną, ale jego podmiotem był cały naród”. I wielką sumą tych narodowych aplikacji stało się to 5-tomowe wydanie dzieł wszystkich Chopina, podkreślające swoje pierwszeństwo pełnej edycji w Europie, a dedykowane właśnie *Paliakam*.

Rozprzestrzeniła się potem ta niezwykła popularność Chopina w Rosji również na inne środowiska kultury i sztuki, a nawet nauki. Z pisarzy najczęściej odwoływał się do jego muzyki Lew Tołstoj, zresztą sam niezły fortepianista; poświęcały mu swoje utwory poetki Cwietajewa, Achmatowa, Achmadulina, pisali o nim poważne rozprawy Łunaczarski, Żyłajew, a nade wszystko pisał o nim pięknie i mądrze Borys Asafiew, a potem, bliski naszym sercom, Igor Bełza. Wspierały – i wspierają nadal – obecność Chopina w nowej kulturze rosyjskiej zarówno władze, jak i różne instytucje upowszechniające jego muzykę na najwyższym poziomie, jak moskiewski Konkurs im. Fryderyka Chopina, jak Towarzystwo Muzyczne im. Chopina, instytuty i wydawnictwa muzyczne, a zwłaszcza całe zastępy uzdolnionej młodzieży, wyruszającej już tradycyjnie właśnie do Polski na podbój naszych serc i uczuć.

Grzegorz Wiśniewski opowiedział o tym wszystkim z rozmachem i rzetelnością bogatego w wiedzę kronikarza, dokumentem dwustu lat przeszłych, ale i z wizją przyjaznej przyszłości, co jest dziś tak nam potrzebne. Sumuje ten barwny obraz sympatią dla tak rozumianej kultury europejskiej i przekonaniem, że wkrótce „dopisane będą nowe stronice” tej fascynującej szopenistyki u naszych wschodnich sąsiadów.

Eugeniusz KABATC

W CZASOPISMACH

Atmosfera świąteczno-noworoczna w polskich czasopiśmiech, czas pewnego luzu, tematyki łatwej i przyjemnej, także uwolnionej od politycznych tyrad jednego zwłaszcza pana prezesa i członków jego zakonu, nie była, oczywiście, całkowicie uwolniona od spraw czy kwestii poważniejszych, zasługujących na uwagę.

Naszą szczególną uwagę zwrócił „Bóg codziennego użytku” czyli rozmowa red. Aleksandry Klich z prof. Zbigniewem MIKOŁEJKO, filozofem i religioznawcą z PAN, na temat, mówiąc już bardziej uczenie, recepcji czy rozumienia pojęcia i istoty Boga w świadomości Polaków. Uwagi wypowiedziane na ten temat przez uczonego, co jest rzeczą

rzadką, nie ukrywającego swoich poglądów ateistycznych, zasługują szacunek i uwagę.

„Nasz Bóg jest Bogiem czułym, który się o nas troszczy, jest bliski, rodzinny. Polskie Boże Narodzenie to wspaniałe święto bliskości, uwielbiam je, bronię jego tradycyjnych

form, ale nie ma tu miejsca na żadną metafizykę ani transcendencję” – czytamy prof. Z. Mikołejko. I dalej: „Polacy są pragmatyczni, szukają Boga opiekuńczego, który coś im załatwi... Bóg nie jest nam potrzebny do zbawienia, ale do codziennego użytku, żeby się zajmował naszymi większymi lub mniejszymi dramatami. Żeby rozwiązał nasze problemy albo przynajmniej nas wsparł”. Na pytanie „Czy Polak to katolik?” czytamy taką oto odpowiedź: „Oczywiście, że już nie, choć pewne ślady zostały. Polacy sięgnęli po symbol krzyża, gdy byli zagrożeni jako naród. Bo wisiał na nim Chrystus cierpiący jak oni... Używanie dziś, w czasach wolności i demokracji, tego symbolicznego zespolenia jako znaku tożsamości dziwi. Jednak nawet obecnie, gdy przenosimy się do Irlandii czy Wielkiej Brytanii, przenosimy się tam ze wszystkim, co znane, oswojone – ze zwyczajami, obrzędami. Tworzymy polskie parafie, żądamy polskich księży... Prawdziwy ksiądz katolicki musi być Polakiem. Bo my mamy Boga od świąt i narodu. Nie mamy Boga od człowieka... Polski Bóg jest Bogiem wielkiej wspólnoty, nie moim osobistym, wyjątkowym. I przymuszającym do pewnych postaw etycznych”. I jeszcze jedna interesująca uwaga: „W naszym kraju na dobrą sprawę nie ma pojęcia grzechu, bo moralność i wiara zostały zepchnięte do kościoła, w wąską i zamkniętą przestrzeń świątyni. Tam trzeba być dobrym, porządnym, czystym. Po wyjściu z kościoła można natomiast wszystko. Boga nie ma zatem w sferze społecznej, moralnej, intelektualnej” – stwierdza prof. Z. Mikołejko.

A my pozostając w tym ważnym kręgu refleksji nad stanem ducha społeczeństwa polskiego zastanawiamy się nad jego możliwą ewolucją i jego przyszłością, nad rozumieniem i praktykowaniem sacrum i profanum, nad tym, czy doczekamy Kościoła otwartego, rozumiejącego współczesne realia i jego realne miejsce w tym otwartym świecie.

W klimacie świąteczno-noworocznym z zaciekaowaniem sięgamy z kolei do pierwszego tegorocznego numeru, coraz bardziej eleganckiego wizerunkowo, „Tygodnika Powszechnego”, a w nim do tekstu ks. Jana KRACIKA, profesora historii w krakowskim Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II, aby odświeżyć swoją wiedzę na temat „Metryki Nowego Roku”. Długa i złożona to „metryka” i niemniej dla Kościoła

kłopotliwa. Kłopot ten polega na błędzie popełnionym na początku VI w. przez chronografa – rzymskiego mnicha scytyjskiego pochodzenia Dionizego Małego, który datę urodzenia Chrystusa ustalił „co najmniej 4 lata <przed Chrystusem>”. Ten błąd ciągnie się za Kościołem od wieków i trwa. Wszelako „Brak coraz bardziej pożądanej informacji o narodzeniu Chrystusa – czytamy ks. J. Kracika – zrodził domysły, a ich powtarzanie

www.gazeta.pl

gazeta

PIĄTEK - WEDZELA 31 GRUDNIA 2010 - 2 STYCZNA 2011

Gazeta na Święto

TYGODNIK POWSZECHNY

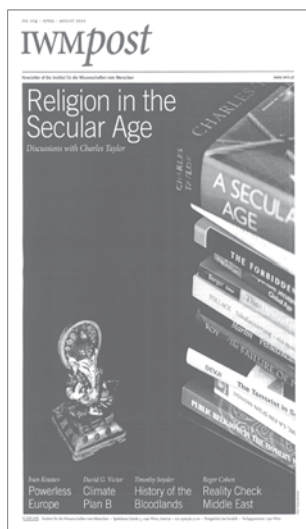
ulepiło tradycję, która ręczyła za datę. O jej umownym charakterze w świątecznych homiliach głucho, a ich słuchacze liturgia i kołęda podtrzymuje w mylnym przekonaniu rocznicowym, powtarzając, iż <dziś się narodził>”.

Niemniejsze kłopoty miał Kościół z ustaleniem daty Nowego Roku. „Chryścianizacja Nowego Roku cywilnego – czytamy w artykule – także nie skończyła się uznaniem go za jednoczesny początek roku kościelnego. Liturgiczny rok bowiem zaczyna się dziś w pierwszą niedzielę adwentu, czyli między 29 listopada a 3 grudnia ...Mamy więc stały Nowy Rok cywilny i ruchomy początek roku kościelnego”. Dodajmy, że wprowadzona w „trybie administracyjnym” w 1682 r. bullą papieża Grzegorza XIII data Nowego Roku długo nie była akceptowana przez wiele kościołów protestanckich, nie mówiąc o konfesjach prawosławnych, które nadal kierują się w swych rachubach kalendarzem juliańskim.

Zagłębieni w lekturę „TP” nie możemy nie odnotować faktu, zapewne nie tylko dla tego pisma ważnego: zmiany jego redaktora naczelnego – w marcu opuszcza („z woli mojego zakonu”) to stanowisko ks. Adam Boniecki (Marianin), a funkcję tę obejmuje jego dotychczasowy zastępca red. Piotr Mucharski. Słowa podziękowania za roztropne kierowanie pismem kierujemy na ręce jego dotychczasowego redaktora i najlepsze życzenia dla nowego, świeckiego redaktora TP.

I jeszcze jedna godna uwagi wiadomość, którą przeczytaliśmy w polskich czasopiśmiech wydanych na święta i Nowy Rok: to mianowicie przytoczone za renomowanym tygodnikiem „Science” najważniejsze wydarzenia czy fronty badań naukowych pierwszej dekady XXI wieku. Najważniejsze to te, które zmierzają do wykrycia przyczyn wielu chorób, które wciąż nękają ludzi i do sposobów czy środków ich pokonania. To dobra wiadomość na Nowy Rok.

Wybrał
Ksawery S. PIWOCKI



Czasopismo wiedeńskiego Institut für die Wissenschaften vom Menschen „IWMpost” w numerze 104 (kwiecień–sierpień, 2010 roku) zawiera szereg interesujących artykułów poświęconych roli religii we współczesnym, świeckim świecie. Mimo że taki też jest tytuł przewodni tego numeru przynoszącego sprawozdanie z konferencji „Poszanowanie innych” zorganizowanej przez Instytut w Mediolanie 8 czerwca 2010 roku z udziałem **Adama Michnika, Giuliano Amato, Giovanni Reale, Charlesa Taylora, Alberta Melloni i Krzysztofa Michalskiego**, treść numeru zapełniają bardzo interesujące artykuły dotyczące także naszej części Europy: Środkowej i Wschodniej.

„IWMpost” otwierają dwa artykuły poświęcone prof. Tony Judtowi, zmarłemu we wrześniu 2010 roku w Nowym Jorku najwybitniejszemu historykowi pierwszego dziesięciolecia XXI wieku. Tony Judt często był w Polsce, miał tu wielu znajomych i przyjaciół, ale przede wszystkim pisał o naszym kraju w oparciu o głęboką wiedzę i zrozumienie polskich dziejów, zawikłanych i pełnych sprzeczności; rzecz rzadko spotykana w świecie anglosaskim. Jego spojrzenie na historię Europy jest całkowicie odmienne od intelektualnych standardów, które obowiązywały w historiografii światowej w XX wieku, dzielące dzie-

je naszego kontynentu na dwa odmienne, równoległe opisy zdarzeń na Wschodzie i na Zachodzie, rzadko zazębiające się nawzajem. Judt, w swoim *opus magna*, „Powojnie” traktuje historię Europy, jako jednorodną całość. Wydarzenia, zdawałoby się w jednym odległym krańcu kontynentu, na przykład w Hiszpanii, miały wpływ na wydarzenia na drugim krańcu – Polsce, Rosji, na Węgrzech. Dla niego historia to zapis zmagających się idei, które opanowują powszechną wyobraźnię, budując nowe relacje międzyludzkie i niszcząc dorobek przeszłych pokoleń – i niezbyt często przynosząc pozytywne efekty.

Kontynuacją tekstów poświęconych Judtowi jest artykuł prof. Timothy **Snydera** „Europejskie pola śmierci”. „Pola śmierci” to nazwa, zastosowana przez zachodnich dziennikarzy dla rozległych, ryżowych, równin Kambodży, gdzie reżim Czerwonych Khmerów wymordował kilka milionów swoich rodaków, którzy ich zdaniem stanowili przeszkodę do urzeczywistnienia utopii maoistowskiego raję.

„Europejskie pola śmierci” to znacznie większy obszar niż Kambodża – to tereny Polski, Białorusi, Ukrainy, państw bałtyckich i zachodnich rubieży Rosji – mniej więcej tereny zajmowane kiedyś przez Pierwszą Rzeczpospolitą. Skala ofiar jest też wielokrotnie większa – szacuje się na czternaście milionów ofiar – tylko cywilnych, nie bierze się pod uwagę poległych żołnierzy, liczonych także w milionach osób, najczęściej w jenieckich obozach, nie na polach bitew.

Snyder zwraca uwagę, że ofiarami byli mieszkańcy tego rozległego terytorium, natomiast sprawcami byli przede wszystkim Niemcy i Rosjanie, dla których ziemie między Wisłą a Donem były obszarem, gdzie wdrażano w życie szalone idee – niemieckiego nazizmu i rosyjskiej wersji komunizmu.

Ponad połowa ofiar to Żydzi – mieszkający od setek lat na tych terenach. Symbolem Zagłady, Holocaustu, jest obóz koncentracyjny w Auschwitz, ale więźniowie mieli tam znacznie większe szanse przeżycia, niż ci, których wywieziono do Treblinki, Majdanaku, Sobiboru, Bełżca – tam funkcjonowały tylko krematoria, to nie były eufemistyczne „obozy koncentracyjne”, gdzie funkcjonowało fałszywe hasło „Arbeit macht frei”, to były po prostu fabryki śmierci. O ich istnieniu świat dowiedział się stopniowo, w kilka lat po zakończeniu Drugiej Wojny Światowej – przede wszystkim, dlatego, że znajdowały się na terenach zajętych przez Armię Czerwoną i dostęp przedstawicieli światowej opinii publicznej był utrudniony. Miliony osób zamordowano w miejscach w pobliżu ich zamieszkania, takich jak Babi Jar na Ukrainie, czy we wsiach i miasteczkach Europy Wschodniej. Tę gehennę ludności cywilnej na terenach zajętych przez Niemców zakończyła Armia Czerwona – zbrojne ramię innego totalitarnego reżimu, odpowiedzialnego za wymordowanie milionów niewinnych ludzi, w cyfrach zbliżonych do niemieckich, choć dotyczących innych rodzajów ofiar – przede wszystkim inteligentów, zamożnych chłopów i zwykłych mieszczan – Polaków, Ukraińców, Białorusinów, Bałtów – także Żydów, choć nie na niemiecką skalę, ale też i milionów Rosjan.

Artykuł Snydera jest wprowadzeniem do jego książki pod tym samym tytułem, będącą historią masowego mordu, podjętego z przyczyn politycznych wynikających z realizacji idei, które opanowały Europę w trzecim i czwartym dziesięcioleciu XX wieku. To zatrwające, że takie zbrodnie popełniono na kontynencie, gdzie rozkwitło chrześcijaństwo i narodziło się Oświecenie, gdzie hasło „Egalite, fraternite, liberte” zrodzone z osiągnięć kultury europejskiej poprzednich wieków, miało przynieść równouprawnienie i poszanowanie każdej jednostki ludzkiej niezależnie od płci, rasy, wyznania, narodowości, religii. I że do największej hekatombi ofiar doszło na terenach, gdzie do końca XVIII wieku istniało wielonarodowe, wieloreligijne państwo, w którym religijna tolerancja była racją istnienia tej państwowości.

Polska rewolucja „Solidarności” 1981 roku stanowi zaprzeczenie idei totalitarnych – była rewolucją dla czegoś, a nie przeciwko czemuś. W artykule „Zanikająca historia” w tym numerze „IWMpost” Roger **Cohen** przytacza zdanie Adama Michnika: „My powinniśmy mieć rewolucję, która nie przypomina francuskiej czy rosyjskiej, ale raczej amerykańską, w tym znaczeniu, że jest ona dla czegoś, a nie przeciwko czemuś. Rewolucję dla Konstytucji, a nie dla Raję. Rewolucję przeciwko Utopii, ponieważ utopie prowadzą do gilotyny i gułagu”. To zdanie Michnika stanowi przesłanie rozważań Autora o współczesnych zagrożeniach totalitarnych.

Roger Cohen swój artykuł poświęca przede wszystkim relacjom Stanów Zjednoczonych i Iranowi. Państwo ajatollahów traktowane jest na Zachodzie, jako współczesna wersja totalitarnego reżimu, który winien być jak najszybciej zniszczony. Cohen uważa taką postawę za błędną, służącą przede wszystkim najbardziej skrajnym, fundamentalistycznym odłamom irańskiej elity władzy, dla której antyizraelska, i generalnie

antyzachodnia retoryka to główny instrument, jaki posiadają, a który ma na celu ślepa mobilizację mas pod ich przewodem. Cohen zwraca uwagę, że w samym Iranie istnieją ogromne rzesze ludzi, dla których demokracja na wzór europejski czy amerykański jest nadzieją na wyjście ze stanu gospodarczego i politycznego zaścianka. To miliony ludzi, dla których rewolucja islamska przeciwko szachowi była ogromną nadzieją na lepsze życie, demokratyczne i tolerancyjne, a przeistoczyła się w obskurantcki reżim oferujący gorsze warunki społeczne niż osławiona wszechwładna policja polityczna SAVAK rządu cesarza Rezy Pahlawiego. Należy wziąć pod uwagę także pokolenie żołnierzy wysłanych na śmierć przez mułłów w wojnie z Irakiem – bez przygotowania i uzbrojenia, dziś świadomych bzdurnych decyzji kleru. Iran to kraj starej cywilizacji, świadomy swych osiągnięć porównywalnych do tradycji Indii i Chin, i marzący o zajęciu godnego, porównywalnego z Pekinem i Delhi, miejsca wśród narodów świata. Oni stanowią nadzieję, że nie grozi nam kolejna bezsensowna i krwawa wojna. Nadzieję, że Iran wykorzysta swój potencjał ludzki i zasobów naturalnych do budowy demokratycznej państwowości, a nie kolejnego „pola śmierci”.

Daniel S. ZBYTEK

Uwagi polemiczne

Radosław S. CZARNECKI

Mała rzecz o tajemnicy

Dokończenie ze s. 32

(jak mówi znakomity obserwator współczesnego życia prof. Z. Bauman) jest tak chaotyczne, przypadkowe, nieprzewidywalne i niepewne. Te tendencje wzmacniają (oczywiście oprócz innych trendów trapiących współczesność) siłą rzeczy konsumeryzm, zakupizm, doczesne patrzenie na świat i rzeczywistość w kontekście „tu i teraz”. „Wieczność i tajemnica” jeszcze bardziej czynią mrocznym ten chaos dzisiejszego świata. Bo tylko racje rozumu rozjaśniają nam ludzki byt, nasze trwanie, nasze życie codzienne.

Bo „wieczność i tajemnica” kojarzą się jednoznacznie z jakąś formą wierzeń religijnych. A tym samym z instytucją ją egzemplifikującą. A między religijnością, zwłaszcza tą zinstytucjonalizowaną, a duchowością istnieje kolosalna różnica i dychotomia. Piszą o tym m.in. od dekad polscy religioznawcy (różnych proveniencji): M. Libiszowska-Żółtowska, Z. Stachowski, J. Baniak czy M. Horoszewicz. Mało kto jednak ich u nas słucha. Nad Wisłą religijność, duchowość, transcendencja, mistyka muszą zaraz kojarzyć się z Kościołem katolickim.

A jak wiadomo wszystkie instytucje religijne, funkcjonujące i postrzegane w Europie

jako tradycyjne, immanentne tej cywilizacji, budujące nieraz jej wymiar i kulturę przeżywają od dekad spory (tak ilościowy jak i jakościowy) kryzys.

Ów uwiąd instytucji religijnych, działających w starym stylu, jest również wykorzystywany w dyskusjach nad *konduity* nowoczesnego (lub jak inni chcą – po-nowoczesnego) człowieka, dla pokazania i udowodnienia degradacji jakiej w wyniku dorobku Oświecenia poniosła europejska cywilizacja.

Jest to bowiem wygodna zbitka pojęciowa: Oświecenie – racjonalizm – laicyzacja – wolności osobiste jednostki (a stąd już prosta droga ku de-klerikalizacji i desakralizacji – by nie rzec: ateizacji – życia). Ale czy to ateizm może być tylko źródłem owej pychy o której pisze V. Havel? A czy czasem jej genezą nie jest owa „niewidzialna ręka rynku” i ekonomizacja wszelkich dziedzin naszego życia?

Dlatego należy podchodzić niesłychanie rozważnie do tego rodzaju krytyk i zastrzeżeń wysuwanych pod adresem współczesnej kultury i dorobku człowieka. Uderzenie w jądro – Oświecenie i rola rozumu w życiu jednostki – dorobku naszej europejskiej kultury to podważenie osiągnięć i negacja jej zasadniczych zrębów: społecznych, intelektualnych, filozoficznych, cywilizacyjnych. Wszelkich możliwych.

Doroczne spotkanie w krakowskiej KUŹNICY

Stały się od dwudziestu lat doroczną tradycją spotkania intelektualistów skupionych wokół krakowskiej KUŹNICY oraz Towarzystwa Kultury Świeckiej, poświęcone najważniejszym problemom społecznym, politycznym i moralnym naszych czasów.

Tak było i tym roku: w siedzibie KUŹNICY, 8 grudnia 2010 r., spotkali się jej członkowie i sympatycy, aby zastanowić się nad kwestiami moralnymi i stosunkiem wobec nich Kościoła w warunkach systemu demokratycznego.

Wystąpienia wprowadzające do debaty: profesorów Hieronima KUBIAKA, Janusza MAJCHERKA, Magdaleny ŚRODY i Jerzego J. WIATRA, zarysowały rozległą panoramę problematyki moralnej i etycznej w ogóle, jej miejsca w polskim dyskursie, jej różnorodnych przejawów, jej dynamiki i przemian oraz obszarów konfliktu poglądów i poszukiwania płaszczyzn dialogu i porozumienia. Wśród problemów, które wywołały różnice poglądów pomiędzy panelistami i w pytaniach osób obecnych na spotkaniu znalazła się kwestia źródeł, mówiąc najogólniej, tak impulsywnej reakcji Kościoła na sprawy moralne, jego przekonania o wyłączności w rozstrzyganiu tego co dobre a co złe w kwestiach moralnych, jego niezdolności do rozumienia przemian, które w tej mierze dokonują się dziś w świecie i w Polsce; kwestia odpowiedzi na pytanie: czy III RP jest czy nie jest państwem wyznaniowym, czy i jakie fakty społeczne przemawiają „za” a jakie przeciw tej tezie; kwestia przyszłości – czy Kościół zdolny będzie uznać system demokratyczny jako wartość, którą nie tylko warto zaaprobować, ale go aktywnie rozwijać i wspierać i wreszcie czy Kościół w Polsce, głęboko dziś podzielony, znajdzie w sobie taką siłę, aby stała się ona czynnikiem budowania jedności Polaków a nie ich dzielenia.

Zwięzłego podsumowania debaty dokonał redaktor naczelny RES HUMANA dr Zdzisław SŁOWIK, który odniósł się do kilku kwestii merytorycznych spotkania oraz serdecznie podziękował wszystkim uczestnikom za aktywny udział w spotkaniu, a szczególnie prezesowi krakowskiego TKŚ mgr Janowi NOWAKOWI za budzący szacunek wysiłek w jego zorganizowanie.

Spotkanie, o którym wyżej mowa, poprzedziła skromna, ale piękna uroczystość wręczenia prof. Magdaleny ŚRODZIE KOWADŁA <KUŹNICY>, tego prestiżowego wyróżnienia, które Stowarzyszenie <Kuźnica> nadaje wybitnym przedstawicielom polskiej nauki i kultury. Laudację skierowaną do Laureatki wyróżnienia wygłosił prof. Marian STĘPIEŃ a dyplom oraz miniaturę kowadła wręczył przewodniczący Stowarzyszenia <Kuźnica> prof. Hieronim KUBIAK. Prof. Magdalena Środa, w swoim wystąpieniu, mówiła o wielkich wyzwaniach, jakie współczesność stawia wobec tych, którym bliskie są ideały wolności, tolerancji, równości kobiet i mężczyzn, rozumienia odmienności jako wielkiej wartości nowoczesnej demokracji.

A.B.

VI FESTIWAL RACJONALISTYCZNY

W dniach 11–12 grudnia 2010 r. odbył się we Wrocławiu VI Festiwal Racjonalistyczny zorganizowany przez Dolnośląski Oddział Polskiego Stowarzyszenia Racjonalistów.

Jego pierwszą częścią był Zjazd delegatów PSR, który dokonał podsumowania działalności stowarzyszenia w mijającej kadencji. W imieniu ustępujących władz krajowych referat sprawozdawczy przedstawiła dotychczasowy prezes Małgorzata LEŚNIAK. W ponad 8-godzinnej debacie zastanawiano się nad dorobkiem stowarzyszenia i jego zadaniami na przyszłość. Dorobek ten uzyskał pozytywną ocenę delegatów. Stowarzyszenie, mówiono, umocniło swoją pozycję wśród krajowych (i nie tylko) ruchów humanistyczno-wolnomyślicielskich. Zjazd dokonał zarazem gruntownej wymiany dotychczasowych władz organizacji: nowym prezesem stowarzyszenia został wybrany Paweł GLIŃSKI.

Drugi dzień Festiwalu wypełnił panel naukowo-dyskusyjny, którego mottem były słowa: „Nauka – racjonalizm – scjentyzm”. Motto to wypełniły cztery referaty, które kolejno przedstawili: Tomasz WITKOWSKI (wcześniej uhonorowany wyróżnieniem Racjonalisty Roku), Maciej ZATOŃSKI, Radosław S. CZARNECKI i Michał SYSKA. Wystąpienia dotyczyły zagadnień z pogranicza nauki i medycyny, problematyki filozoficznej w perspektywie

Dokończenie KRONIKI na III s. okładki

wyzwań niesionych człowiekowi przez współczesną cywilizację oraz związków pomiędzy doktryną neoliberalną i stosunkiem wobec niej Kościoła katolickiego. Ożywiona dyskusja rozwinęła wiele kolejnych wątków związanych m.in. z potrzebą bardziej aktywnego przeciwdziałania różnym postaciom irracjonalizmu, w tym znachorstwu, wróżbiarstwu i podobnym ujemnym zjawiskom psychospołecznym.

VI Festiwal Racjonalistyczny ukazał potrzebę dalszego, aktywnego krzewienia idei racjonalistycznych i świeckich oraz umacniania świeckiego państwa prawa.

RSC.

JUBILEUSZ DR. WŁADYSŁAWA LORANCA

W pierwszych dniach grudnia 2010 r. dr Władysław LORANC, znany działacz państwowy i społeczny oraz ceniony publicysta, obchodził Jubileusz Osiemdziesięciolecia.

Z tej okazji w specjalnym liście gratulacyjnym skierowanym na ręce Jubilata przez Prezydium Rady Krajowej Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego oraz zespół czasopisma „RES HUMANA”, podkreślono szczególną rolę Jubilata w kształtowaniu myśli programowej polskiego humanistycznego ruchu świeckiego oraz Jego wybitne zaangażowanie w upowszechnianie idei tolerancji, praw człowieka i państwa świeckiego.

Katowice Klub Kultury Współzycia i Tolerancji im. Tadeusza Kotarbińskiego, działający przy Radzie Śląsko-Zagłębiowskiej Towarzystwa Kultury Świeckiej w Katowicach, stale pamięta każdego roku o dniu 16 listopada – Międzynarodowym Dniu Tolerancji. Także i 2010 roku w Klubie odbyło się uroczyste spotkanie, w czasie którego odniesiono się do przyjętego przez Sejm RP rządowego projektu ustawy o wdrażaniu niektórych przepisów Unii Europejskiej w zakresie równego traktowania ludzi ze względu na płeć, tożsamość etniczną i narodowość, wyznanie, światopogląd czy orientację seksualną.

Oceniono pozytywnie wiele wskazań tego dokumentu, choć zwrócono uwagę na równie wiele jego braków, podniesionych m.in. w dokumencie 37 zainteresowanych tą problematyką polskich organizacji pozarządowych. Przypomniano też o podjęciu prac nad ratyfikacją Karty Praw Podstawowych, dokumentu, który od kilku lat, po rządach PiS, wciąż nie może się stać integralną częścią prawa polskiego.

Stanowisko w tych sprawach ujęte w „Apelu do ludzi dobrej woli – o tolerancję i kulturę współzycia ponad podziałami”, skierowanym m.in. do marszałka Sejmu RP i przewodniczącego Klubu Parlamentarnego SLD posła Grzegorza Napieralskiego, spotkało się życzliwym przyjęciem obu adresatów tego dokumentu.

S.K.

Koszalin Spotkania organizowane w ostatnim czasie przez świeckich humanistów Ziemi Koszalińskiej związane były z wyborami samorządowymi. Władza lokalna bowiem to coraz bardziej rosnąca na znaczeniu siła zdolna przeobrażać życie społeczności lokalnych poprzez tworzenie klimatu wzajemnego zaufania władzy i społeczeństwa. Jego ważną częścią jest harmonijne współzycie obywateli bez względu na ich przekonania światopoglądowe formowane na gruncie przestrzegania świeckiego charakteru instytucji publicznych.

W tej perspektywie przebiegały też kolejne spotkania Koszalińskiego Oddziału Towarzystwa Kultury Świeckiej. W grudniu ub.r. uwaga zebranych skupiła się na niektórych trudnych problemach polskiego Kościoła katolickiego będących następstwem przyspieszonych procesów cywilizacyjno-kulturowych i związanych z tym przemian laicyzacyjnych. Wprowadzeniem do dyskusji na ten właśnie temat było wystąpienie mgr Zbigniewa STAŃCZAKA. W ożywionej dyskusji głos zabrali m.in. dr Stanisław KOŃCZAK, dr Zenon JONCA, mgr Genowefa KLINGIERT, mgr Janina KUREK, mgr Antoni JAŚKIEWICZ. Z kolei tegoroczne, styczniowe spotkanie Oddziału poświęcono omówieniu i dyskusji na temat głośnego listu o. Ludwika Wiśniewskiego do Nuncjusza Apostolskiego w Polsce na temat sytuacji w polskim Kościele. Dyskusję na temat tego listu poprowadził dwugłos mgr Genowefy KLINGIERT i dr Zenona JONCY, który zainspirował zebranych do szerokiej wymiany myśli o polskim Kościele, o coraz wyraźniejszym braku jedności w jego działalności duszpasterskiej i publicznej, co odbija się na sytuacji ogólnospołecznej w naszym kraju.

W planie działania Oddziału Koszalińskiego znajdują się inicjatywy, których wspólnym celem jest krzewienie kultury światopoglądowej w społeczeństwie regionu w duchu wartości humanizmu i tolerancji.

G.K.

Poezja nie tylko okolicznościowa*Dokończenie ze s. 42*

Pory Poezji” spotkanie autorskie dwóch poetek pozornie ze sobą nie związanych żadnymi pokrewieństwami artystycznymi: Jaworska jest lirykiem o urzekającej intymności tonu poetyckiego, Żurecka podbija czytelnika rzetelnością logicznego poetyckiego dyskursu. Oto próbki ich stylu:

*Moje ciało
w hibernacji
tęsknoty
usta
bez
czucia
dłonie
bez dotyku*

(Dorota Janowska, „Oczekiwanie na miłość”).

*Kochany znowu dzień
modłę się za ciebie
jedno „Zdrowaś...”
i jedno „Ojczy nasz...”
jeszcze mała tabletką
przecież muszę przetrwać
i zaraz wejść
w dzień
druga ja
ta zorganizowana*

(Małgorzata Żurecka, „Znowu dzień”).

(Mam nadzieję, że nie pomyliłem auterek!)

Dostrzec szansę zawartą w takiej konfrontacji dwóch różnych temperamentów poetyckich, a w gruncie rzeczy dwóch postaw (poetyckich) wobec życia – to wielka zasługa organizatorki rzeszowskiego spotkania, podejmującej Siemionowską koncepcję integrowania sztuki tworzonej przez różne indywidualności, scalania ich w nową jakość artystyczną, w której osobowości nie tracą nic ze swej autonomii, ale uzyskują zintensyfikowaną przez ten kontrast siłę przemawiania. W zamykającym tom „Słowie przyjaciółki” Barbara Balicka trafnie przytacza dystych wileńskiego poety Romualda Mieczkowskiego, zaprzyjaźnionego z obiema autorkami tego poetyckiego albumu:

*...piękne kobiety
piszą piękne wiersze.*

KRONIKA ŻAŁOBNA

Z głębokim żalem żegnamy zmarłego 3 stycznia 2011 r.

profesora Adama SIKORĘ

filozofa, historyka idei, znawcy epoki romantyzmu, pisarza, nauczyciela akademickiego, związanego przez cały czas swojej aktywności zawodowej z Wydziałem Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego; bliskiego ideałom świeckiego humanizmu i z sympatią śledzący nasze czasopismo. Bardzo żalujemy Jego odejścia z grona bliskich nam osób.

Cześć Jego pamięci.

Zespół Redakcji „RES HUMANA”